

PISMO DLA RODZIN.

№ 10. Warszawa, dnia 27 Lutego (11 Marca) 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.
rocznie. . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . rs. 8
półrocznie. . „ 3 „ „	półrocznie . „ 4 k. „
kwartalnie. . 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.
miesięcznie . „ 50	w Prusach „ 24 marek.

Opiekun Domowy
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

NASZE SŁUGI.

W artykule niniejszym rozstrząsnąć mamy zamiar ważną i drażliwą *kwestyją sług*, która oddawna jest przedmiotem pogadanek osób posiadających dom własny, która tu i owdzie wynurza się ze szpalt dzienników i która niedługo już zapewne stanie się przedmiotem bardzo ożywionej dyskusyi w prasie, jako ciężka niemoc społeczna stanowczych wymagająca leków.

Lecz prawda! skargi przeciw sługom stały się tak powszechne, demoralizacyja tej klasy ludności przybrała tak groźne rozmiary, że już nie w bliskiej przyszłości, ale teraz, dziś, w sprawie tej interwenijować i kres zepsuciu położyć, postanowiły władze policyjne. Odtąd one to mają nam stręczyć sługi, one czuwać nad ich moralnością i one wreszcie pilnować będą gospodarzy, aby rzetelne świadectwa pisali.

W fakcie tym, jednym z najwybitniejszych objawów chorobliwego stanu społeczeństwa, niektóre pisma z naiwną uciechą dostrzegają zapowiedź lepszej przyszłości i rozmyślają o tem tylko, co będzie korzystniej: czy złe sługi pakować do kozy: czy też okładać je pieniężnemi karami?.. Ponieważ zaś fundusz z kar płynący w bardzo krótkim czasie przyzwoitych dojść by musiał rozmiarów, wspomniane więc pisma troszczą się już o wynalezienie najlepszego sposobu zużytkowania kapitałów i proponują, aby takowe na nagrody dla poczciwej służby obracać.

Zastanawiając się nad podobnemi poglądami, mamy ochotę spytać szanownych publicystów, czy zdają oni choćby sami przed sobą sprawę ze zdań tego rodzaju?.. Czyliż stosunki dwu takich czynników jakiemi są gospodarze i sługi nie dość już przedstawiają komplikacyj i czy wmieszanie się do nich trzeciego, nie pogorszy tylko położenia zamiast go uprościć? Źle mówimy: wmieszanie się trzeciego czynnika, — bo ten mięsza się już oddawna, a jest nim społeczeństwo. Czyliż sądzicie, że gdyby jakaś siła nadludzka wydarła nagle rodzinę i jej sługę z tego właśnie otoczenia, czy już sam ten fakt nie uprościłby znakomicie obustronnych stosunków? Przypuszczenie to jest niemożliwe. czynnik trzeci, społeczeństwo istnieje i istnieć będzie, wywiera i wywierać musi swój wpływ wielostronny, a często bardzo szkodliwy zarówno dla sług jak i dla gospodarzy, — lecz cóż w tym razie zyskamy na pojawieniu się czwartego czynnika, który was tak niewymownie cieszy?..

Gdyby nam w kwestyi tej chodziło tylko o publicystów, moglibyśmy już skończyć; tym razem chodzi jednak o ogół czytelników: o ten ogół któremu dokuczyły sługi któremu cięży stosunek dzisiejszy i który tak na tą jak na wszelkie inne przypadłości swoje szuka lekarstwa wszędzie, na niebie i ziemi, pod tym przecież warunkiem, aby mu je ktoś inny przygotował. Temu to ogółowi chcemy przedstawić kwestyją w prawdziwem podług nas świetle, a następnie przekonać go, że środków zaradczych nie dostarczy mu nikt oprócz niego samego.

Przedewszystkiem zwrócić musimy uwagę na to, że dzisiejsza nieznana dawniej demoralizacyja sług, jest jednym z objawów nienormalnego, przejściowego stanu, w jakim znajduje się obecnie społeczeństwo nasze. Gdy okoliczności zaostrzające stan chorobliwy oddziaływać przestaną w ogóle, gdy całe społeczeństwo zmężnieje, wówczas demoralizacyja sług zmniejszy się o pewien bardzo nawet znaczny procent, tak jak zdrugiej strony niewątpliwie powiększy się w razie przeciwnym. Jeżeli dziś np. sługi nie są tak przywiązane do rodzin jak dawniej, to naprzód dla tego, że pękły węzły przykuwające niegdyś sługę do pana, i, że wreszcie owa rodzina dla której wymagamy przywiązania ze strony domowników sama się rozluźniła okrutnie. Nie mamy dziś sławnych masztalerzy i strzelców. bo panowie mało zajmują się końmi i polowaniem; mamy też mniej dobrych kucharek niż kiedyś, bo panie zatraciły kuchenne tradycyje swoich prababek. Dzisiejsze sługi poczynają chorować na modę, dla tego że dzisiejsze panie wnieznanym dotąd stopniu dotknięte są wymienioną chorobą. Dzisiejsze sługi wreszcie zupełnie dla tej samej przyczyny wstydzą się wody nosić, dla której panie ich wstydzą się wziąść garnka do ręki. Wszystko to są objawy choroby epoki, choroby której niedostrzegamy w samych sobie, a którą los. przez dziwną złośliwość, w powiększonych rozmiarach pozwala nam dopatrywać winnych.

Lecz, jeżeli wady sług widzimy dokładnie, czy jednocześnie znamy środki zaradcze, i czy umiemy je stosować?..

„Probowałam już wszystkiego (mówi pani), i wszystko na nic się nie zdało!..“

Jakież było „to wszystko?“

Niekiedy, ale to bardzo rzadko (odtąd trafiać się będzie częściej), oddawano sługę w ręce policyi lub sądów, sługa taka zwykle była skończonym łotrem.

Bardzo często gniewaliśmy się i podniesiosionym głosem robiliśmy słudze cierpkie wymówki, nie szczędząc przytem epitetów dobrze znanych za Żelazną Bramą. To lekarstwo zazwyczaj uzuchwalało sługę, nie wytępiając jednak, a nawet nie zmniejszając żadnej wady.

Dosyć często wreszcie moralizowaliśmy sługę i zachęcaliśmy ją do doskonałości, zapominając, że do słuchania rozpraw etycznych sługa może nie być przygotowaną, i, że przykład a dozór więcej nieraz skutkują od najgruntowniejszych i najpiękniejszym językiem wypowiadanych poglądów. Ten tryb postępowania zwykle równał się rzucaniu grochu na ścianę.

Gdy już perswazyje, hałasy i pogróżki nie pomogły nic, i gdy (co jest najważniejsze) mieliśmy już w zanadrzu nową sługę, wówczas dawnej wymawialiśmy miejsce. Ponieważ jednak „odprawiana“ zwykle na parę dni przed odejściem robiła się dobrą jak anioł, z litości więc, po wypowiedzeniu ostatniej seryi morałów, wydawaliśmy jej świadectwo — *dobre*.

Skarcona w ten sposób penitentka żegna nas śmiejąc się; wie bowiem aż nadto dobrze że ją zaraz w drugim domu z otwartemi rękoma przyjmą jacyś inni państwo, którym wczoraj sługa uciekła, lub którzy sami wypędzić ją musieli....

Oto szkic tego błędnego koła w którem drepcze cała klasa dzisiejszych gospodarzy, na dolegliwości swoje z zewnątrz oczekująca ratunku. A mamyż jeszcze wspominać, o ile to oni sami, ci właśnie gospodarze, przyczyniają się do demoralizacyi swoich podwładnych. Pominmy lepiej to i przejdźmy do środków zaradczych.

Mamy przed sobą dwie grupy ludzi: jedna z nich jest ciemna, uboga i zdemoralizowana, druga znacznie oświeceńsza, bogatsza i oddziecińnstwa znajdująca możność obznajmienia się z zasadami moralności. Stosunek tych dwu grup jest nieznośny, dla czego?... Bo panowie są źli! *mówią słudzy. Bo słudzy są źli!* odpowiadają panowie.

Prawdopodobnie obie strony mają racyją i obie są winne, mniejsza już w jakim stopniu obie potrzebowałyby się zreformować; lecz kto da początek?...

Gdybyśmy powiedzieli sługom: pełnijcie swoje obowiązki, szanujcie swoję godność, pamiętajcie o przyszłości, — i, — gdyby słudzy ci ściśle zastosowali się do naszych nawoływań, kwestyja zostałaby rozwiązaną. Wszak prawda gospodarze?..

Na nieszczęście jednak klasa do której mówiliśmy, — naprzód nie przeczyta nas, bo czytać nie umie, — powtóre nie zrozumie nas, bo jest nierozwinięta, — po trzecie nie zrobi tego co radzimy, choćby zrozumiała, bo... bo dziś już taka moda.

Do kogoż się zwrócić więc mamy? prosta rzecz, że do gospodarzy.

Tak jest, do was gospodarze! Jeżeli chcecie aby służba wasza nie była ciemną, oświećcie ją; jeżeli chcecie aby pełniła obowiązki, nauczcie ją tego, a przedewszystkiem sami wasze zarówno względem niej spełnijcie obowiązki. Jeżeli chcecie w końcu aby koczownicy ci dom wasz uważali za własny, majątek wasz jak swój, to dbajcież o nich jak o członków w skład domu waszego wchodzących.

Jeżeli reforma ma być gruntowną, nie zaś przerodzić się w nowy zamęt, to wstępem do niej, musi być pewne ograniczenie się ze strony gospodarzy, — ograniczenie takie, któreby zmniejszyło konkurencyją o sługi. Dziś wszyscy chorujemy na wielkich panów: ten kto może mieć najemnicę szuka kucharki, kto może mieć kucharkę, szuka lokaja i t. d. Ponieważ żądanie sług jest wielkie, dobre więc indywidua z tej klasy kładą twarde warunki, wymagania podnoszą do maksimum i stają się nieznośne; jednocześnie napływa masa hołoty i oto pierwszy powód ogólnych dziś narzekań. Niech się tylko zmniejszy teraźniejsza gonitwa za sługami, niech gospodarze sami więcej do prac domowych poczną przykładać ręki, a wnet i demoralizycyja się zmniejszy.

Ważnym niesłychanie punktem w kwestyi sług (rozumie się tylko przy zachowaniu pierwszego warunku), są świadectwa. Dziś złe czy dobre świadectwo, z powodu przesadnej konkurencyi, nie wielkie mają znaczenie; każdy bowiem chwyta pierwszą lepszą sługę, aby mieć w domu „jakiekolwiek popychadło.“ — choć faktem jest, że zła sługa jest nawet złem popychadłem, a co ważniejsza, demoralizuje wszystkie swoje znajome zarówno postępkami, jak i bezkarnością. Na wydawanie więc świadectw, żadne sentymenta wpływać nie powinny; książka służbowa winna być prawdziwym obrazem postępowania jej właścicielki, a przy tym dopiero warunku system świadectw stanie się tem, czem być powinien, to jest: przetakiem, który plewę od zdrowego ziarna oddzieli.

Obok oczyszczania klasy służącej od indywiduów złych, rzeczą jest ogółu jednocześnie starać się o szerzenie oświaty. Szkoły niedzielne i wieczorne, w którychby dorośli a mniej zamożni uczyli się czytać i pisać, są nam niezbędnie potrzebne; nim jednak zostaną otwarte, nauka domowa wielką może mieć doniosłość; wiadomo bowiem, że dobra książka korzystnie zapełnia czas i rozprasza nie zawsze dobre myśli.

Zbytecznem zdawało by się, na pierwszy rzut oka, przypominać gospodarzom potrzebę większego dozoru i dbałości o sługi, a przecież jakże często brak jest jednego i drugiego i jakie stąd wynikają następstwa! Gdyby panie robiły ścisłe rachunki, znały ceny targowe i niepozwalały sługom na pobieranie koszykowego, mniej może trafiałoby się wypadków kradzieży domowej. Gdyby nie pozwalano sługom wystawać na schodach, wychodzić bez opowiedzenia się, mniej wówczas zapewne miałyby one konkurentów i t. d.

Drażliwa to już rzecz przypominać, że sługa w domu powinna mieć kąt, czysty i ciepły, że państwo czuwać winni nie tylko nad tem, aby nie była głodną, ale nadto, aby zaopatrzyła się w pościel, odzież, miała pomoc w razie choroby i jakąś ciągle powiększającą się sumkę pieniężną w Kasie Oszczędności. Na te ostatnie punkta nie możemy dość silnego położyć nacisku, nic bowiem tak nie podnosi i nie umoralnia człowieka jak *własność*!

Koroną tych wszystkich usiłowań klasy służących, winien być dom, w którymby dobre sługi na stare lata pewny i wygodny przytułek znalazły, o rychłem otworzeniu którego w Warszawie wspominały już pisma.

Skończyliśmy z kwestyją, a teraz trzeba nam jeszcze choć do pewnego stopnia zabezpieczyć się przeciw możliwym zarzutom. Ten i ów czytelnik obrachowawszy się z sumieniem powie nam: „Ja się ograniczam, a inny:“ ja rzetelne świadectwa piszę; ja uczę czytać sługi; one u mnie mają dozór i opiekę...a przecież są złe i dokuczają mi!..

Niestety! wiemy że i u nas są dobrzy gospodarze, tak liczni jak np. oazy w pustyni, które dla tego właśnie, piasek często zasypuje, że chcąc nie chcąc musimy być solidarni, bo pojedyńcze usiłowania nie zastąpią pracy ogólnej! Tak jest, kwestyją sług tylko ogół rozwiązać może, ale ogół dobremi intencyjami przejęty.

Zgoda! powiecie w dalszym ciągu, może to i jest racyja, abyśmy działali łącznie, z tem wszystkiem jednak nie sądzimy, aby kwestyja podobna dała się dość szybko rozwiązać, a wtakim razie czy się to opłaci?..

Ani na chwilę nie wątpimy, że klasa sług nie odrazu stanie się dobrą, że pozbywszy się jednych wad, nabędzie innych, słowem, że stosunki nasze nie prędko się zmienią; ale i czegoż to dowodzi? Czy ten kto sieje las, sieje dla siebie? albo czy wszyscy ci którzy dziś wkładają kapitały w anglo-francuzki tunel, będą z niego korzystać? Nie wszyscy, a jednak każdy chętnie do przedsięwzięcia tego rękę przykłada, bo ono powstało wśród społeczeństw dojrzałych i zdrowych, których najznakomitszą cechą jest: praca choćby dla najodleglejszej przyszłości.

A teraz czytelnicy, jeżeli zgodziliście się na to, że środki podawane przez nas są zgodne z naturą rzeczy i jedynie możliwe, pomyślcie, czem będzie w obec nich interwencyja zewnętrzna, takiem zadowoleniem przejmująca niektóre z naszych organów?.. Powiecie może że w kwestyi tej potrzebny jest jakiś regulator? Zgoda! ale regulatorem tym może być tylko dobra wola ogółu i poczucie własnych obowiązków. Każdy inny z ciała i kwi złożony czynnik, odegra tu rolę głazu, któryby dla poprawienia źle funkcyjonującej machiny, między jej tryby wrzucono.

ZIMOWA ZAMIEĆ.

Wichr straszliwy zaciąga
Niesie śniegu tumany,
Ślad dróg wszystkich zawiany
Śmierć się życiu urąga,
Bo dłoń zimy zakrzepła
Mrozi jasny zdrój ciepła,
Wichr okrutny zaciąga.

Jego dzikie poświsty
Drżą jak groźba złowieszcza,
Która światu obwieszcza
Dzień posępny i mglisty

Jak to niebo nad głową
I te, w noc dziś grudniową,
Dzikie wichru poświsty.

Pusto, głucho i ciemno,
Wyją wilków gromady —
Myśl ostatniej zagłady
Budzi trwogę tajemną,
Wśród jej błędnych omamień,
Przyszłość milczy jak kamień —
Pusto, głucho i ciemno.

„Więc gdy konać już trzeba
Pod zaspami śnieżnemi,
Snać, że piekło na ziemi
Potężniejsze od nieba!
Snać, śród wrzawy rozbicia
Śmierć silniejsza od życia,
Kiedy konać już trzeba.“

Precz! cmentarne te mary,
Precz! okrzyki bluźniercze,
I sny ducha mordercze,
Stare, jako świat stary;
Znane drogi nam mleczne,
Znane prawa odwieczne,
Precz! cmentarne więc mary:

Śmierci nie ma na świecie,
Tylko życia przemiana —
Z nocy, jutrznia różowa!
Czemż więc śnieżne zamiecie,
Gdy pod śniegu przykryciem
Wszystko nowym drga życiem?..
Śmierci nie ma na świecie!

Światła tylko i ciepła,
Jasnych słońca promieni!
A wnet szmerem strumieni
Drąc pierś ziemi — rozkrzepła
Pod ożywczym tchem wiosny
W chór nam zabrzmi radosny!..
Światła tylko — i *ciepła*.

Mirosław Dobrzański.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

I

Salusia nie miała ani ojca ani matki, ale miała piękne, ciemnokasztanowate włosy, nosek kształtny, zgrabną figurkę i duże niebieskie oczy. Prócz tego miała Salusia babunię, z którą mieszkała od lat dziecięcych w białym dworku na przedmieściu miasta powiatowego.

Babunia była jak zwykle każda babunia stara i trochę gderliwa, napędzała Salusię codziennie do pacierza i książki, prawiła jej w długich zimowych wieczorach sążniste morały— ale mimo to wszystko kochała wnuczkę nad życie, i w końcu zrobiła to wszystko, czego domowy tyran zażądał.

A tyran ten nie był znowu tak srogi. Miał rozumek i dobre serce i nigdy nie żądał tego czegoby babunia w żaden sposób uczynić nie mogła.

Taka wzajemna wyrozumiałość utrzymywała harmoniję w białym dworku a ta harmonija mogłaby na długi czas wystarczyć, gdyby Salusi z każdym roczkiem nie przybywała jedna wiosna, a babuni jedna zima do rachunku. Jedno i drugie turbowało czasem pokój domowy. Każda nowa wiosna naprowadzała Salusię na jakieś dziwne myśli i zachcenia, których babunia dostatecznie wytłomaczyć jej nie mogła—a każda nowa zima trwożyła znowu babunię, która z tą zimą widziała się o rok bliższą grobu.

Po każdej takiej zimie, gdy Salusia przybiegała z ogródka i o śpiewie pierwszego skowronka opowiadała, wychodziła babunia do swojej przyjaciołki żony kasyjera miejskiego i rozkładała przed nią swoje żale:

— Jestem o rok starszą, mówiła w zaufaniu do przyjaciołki—a Salusia także. Dziewcze ładnie rośnie, proszę tylko pana Boga aby mi jeszcze tyle życia użyczył, ile potrzebuje Salusia do zamąż-pójścia.

— Jeżeli Bóg łaskaw — odpowiadała pani Kasyjerowa—to Salusia może się jeszcze wygodnie postarzeć, a pani dobrodziejka będziesz zdrową i czerstwą.

— Wszystko w ręku Boga— ale broń Boże śmierci na mnie, to biedna sierota nie będzie miała rozumnej opieki, a dzisiaj drogi życia są tak złudne, złe a ponętne, że nietrudno szczęście utracić, ale można nawet duszę na wieki zaprzepaścić!...

— Nie słuszne obawy! Przecież Salusia nie będzie bez posagu, a takim pannom bieda nie dokucza!

— Co tam posag! Alboż to posag stanowi szczęście?

— Nieobrażać Boga—jest dworek z ogrodem—jest kamieniczka w mieście—nie mówiąc o tem czego nie widać!

— Co to wszystko znaczy! Może to i gorzej, że ludzie widzą ten posag. Broń Boże śmierci na mnie przyjdzie jaki utracyjusz, który tylko pieniędzy szuka, omami dziewcze, jak to się teraz praktykuje—a po ślubie będzie hulał po za domem!

— To prawda!

— Otóż przedewszystkiem proszę Boga, abym jeszcze za życia mogła wybrać zacnego człowieka dla Salusi na męża—bo choć tam ludzie sarkają na starych że o sercu mało co wiedzą, ale przecież lepiej na tem wychodzą dziewczęta, jeżeli ktoś za nie ma więcej rozumu w wyborze!

Babunia westchnęła po tych słowach kilka razy, a sąsiadka kiwała głową w lewo i w prawo, co było oznaką, że rozmowa jest już wyczerpaną.

Taka rozmowa o Salusi prowadziła się po każdej nowej wiośnie i zimie, które wchodziły do rachunku wieku wnuczki i babuni.

Salusia tych rozmów najczęściej nie słyszała. Swiatek jej był dotąd bardzo ograniczony. Babunia bowiem, jakkolwiek była rozbitkiem szerszego świata, a nawet na listach swoich często kładła nazwiska z różnemi tytułami—mocno się już dziś postarzała i przedewszystkiem lubiła spokój. Oprócz kilku znajomych w mieście, które wiekiem były prawie jej równe, nie bywała nigdzie w gościnie. A tryb życia w dworku był bardzo jednostajny. Rano odmawiała się modlitwa, potem robiono porządek, dawano jeść kanarkom a po kanarkach przychodziła na stół kawa. Po kawie siadała Salusia do książki, a po godzinie samotnej nauki przychodził stary nauczyciel i przez kilka godzin kładł do główki młodej różne ziarna mądrości ludzkiej. Po obiedzie mogła Salusia trochę po ogrodzie pobiegać albo bawić się w pokoju klawikordem, kanarkami i kotkiem, który był wielkim figlarzem. A gdy wieczór nadszedł, miała już babunia przygotowaną książkę, z której Salusia na głos czytała, a którą babunia tu i owdzie objaśniała.

Wyjątkiem z tego codziennego życia była niedziela lub jaki inny dzień świąteczny. Wtedy ubierała się babunia i wnuczka w szaty odświętne i obie wychodziły do fary w uroczystym nastroju ducha.

Wydarzyło się czasem, że ten uroczysty nastrój przerywał się u wnuczki doznanemi wrażeniami, które ją w drodze lub nawet w samej świątyni zaskoczyły. Mimo bowiem spuszczonych do ziemi oczu, jak to babunia zalecała, trudno było nie dojrzeć tego i owego, co było ciekawe i dziwne. Raz zbliżył się trochę za śmiało jakiś wyrostek z czarnemi wąsikami, a gdy Salusia przypadkiem na niego spojrzała, uczuła potrzebę podzielić się z babunią swojem wrażeniem. Drugi raz w samym kościele nie mogła się z należytą uwagą modlić na „złotym ołtarzyku,“ bo na swojej rumianej twarzyczce czuła parę ciemnych oczu które ją mocno niepokoiły.

— Babuniu—mówiła w powrocie z kościoła—jak to czasem dziwne są oczy. Niedawno czytałyśmy podania ludowe o „oczach uroczych.“ Zdaje mi się że takie oczy dzisiaj w kościele widziałam!

Babunia wystrofowała Salusię, że w domu bożym o takich głupstwach myśli, opowiedziała jej historyjkę o oczach szatańskich, któremi zły duch kusi biednych ludzi i zaleciła skuteczną w takim razie modlitwę do św. Brygidy. Posłuszna wnuczka odmówiła zaleconą modlitwę, ale mimo to, ciemne oczy nieznajomego, widziała na marginesach nabożnej książki.

Najwięcej figlów płatał jej mały szatanek który ulokował się tuż w pobliżu dworka.

Naprzeciw dworka był mały domek ślusarza.

W tym domku słychać było przez cały dzień stuk młotów, i skrzyp pilników. Przez okna wyglądały czarne, zasmolone postacie, które samotnej Salusi dostarczały modeli do czarnych duchów, jakiemi w swojej wyobraźni zaludniała ciemniejsze a nieznane przestrzenie ziemi.

Od tego ciemnego demonicznego tła twardej pracy, odbijał mały chłopak z jasnemi jak len włosami. Nie był zabrudzony jak inni, miał twarz białą, drobne ręce i oczy ciemno brunatne. O jednej i tej samej godzinie wychodził z książką pod pachą, i w jednej i tej samej wracał.

Salusia z razu zazdrościła chłopakowi jego swobody. Wychodził on codziennie w świat szerszy, patrzał na wszystko własnemi oczami podczas gdy ona musiała tylko wierzyć temu, co jej babunia opowiadała. Chłopak obiedz mógł całe miasto aż do koła, podczas gdy ona znała zaledwie kilka ulic pryncypalnych!

Ta wyższość chłopca nad nią gniewała ją z razu. Patrzała nawet z pewną zawiścią na niego, gdy swobodnie stawiał nogi przed sobą które go w szeroki świat prowadziły.

Mój Boże—mówiła nieraz do siebie—gdybym ja tak mogła swobodnie wyjść z dworku i iść daleko, pokąd mi sił wystarczyć by mogło! Ileż rzeczy mogłabym obaczyć! Wszystko obaczyć własnemi oczami, i wszystkiego dotknąć się własną ręką, to może być bardzo przyjemnie! Oczy babuni tak słabe, ręka tak zimna!...

Tymczasem chłopiec wychodził codziennie z domu i wchodził, i ani na myśl mu nie przyszło, że tam ktoś za szybą dworka patrzy na niego i swobody mu zazdrości!

Z czasem znikała powoli nieprzyjaźń Salusi dla uprzywilejowanego chłopca. Darowała mu jego swobodę, niezazdrościła mu jego przechadzek po nieznanych ulicach miasta—bo on od niejakiego czasu zaczął jej wieczorami sprawiać pewną nową przyjemność.

Zdaje się, że u ślusarza stanął do roboty jakiś starszy czeladnik, który grał na harmonijce. Chłopiec, który jak widać miał swobodę do wszystkiego, wziął się także do harmonijki i zanim kilka tygodni przeminęło, wygrywał już nie tylko wszystkie walce i mazurki, których od czeladnika był się wyuczył, ale improwizował nawet jakieś tęskne, smutne piosenki, które w sercu Salusi budziły marzenia rozkoszne, a dotąd nieznane.

Salusia miała klawikord i probowała czasem także podobne melodyje komponować, ale melodyje chłopca były jakieś wymowniejsze i więcej umiały się wypowiedzieć.

Odtąd prawdziwą było dla niej rozkoszą, gdy chłopiec wieczorem usiadł na przyzbie domku i zaczął z harmonijki wydobywać tony rzewne a smutne. Zazwyczaj otaczała go wtedy pracowita rodzina, która po trudzie dziennym wypoczywała, a do której przyłączało się także kilku zasmolonych terminatorów.

Po staranniejszym ubiorze chłopca, po jego zawsze białej koszuli i włosach starannie uczesanych poznać było, że twardo pracująca rodzina widziała w nim członka uprzywilejowanego i przeznaczała go do lepszego, wyższego od ślusarstwa zawodu. Miał on być prawdopodobnie jednym ze szczebli, po którym ród ślusarski mógł się wznieść do wyższych w hierarchii społecznej stanowisk.

Jakie zaś miało być to stanowisko, trudno było odgadnąć. Być może, że pobożna matka marzyła przy harmonijce syna, że stanie kiedyś przed ołtarzem fary i jako proboszcz miejscowy błogosławić będzie ludek parafii zebrany na modlitwie. Być może że widziała nawet łańcuch prałata na jego białej szyi a może jeszcze wyżej w marzeniach swoich sięgała. Wszak dla biednych ludzi, którzy rodzą się bez żadnych przywilejów, jest to jedyna dostępna sfera, w której mogą się wznosić do wyższych zaszczytów!

Zdaje się, że ojciec inne miał myśli. Ideałem jego był prawnik, który nie tylko łatwo na chleb zarabia, ale nawet może być burmistrzem miasta, jakto właśnie stało się przy ostatnim wyborze. Siostra zaś życzyła mu w duchu dyplomu doktora medycyny i okulistyki, bo takiż doktór miał w mieście dom bardzo ładny a żona jago jeździła eleganckim ekwipażem.

Słowem nadzieje były wielkie, a nadzieje te podsycał czcigodny organista fary, który nietylko wyraźnie się z tem odzywał, że chłopiec ma wielkie talenta, ale nawet sam ofiarował się zacnym swoim sąsiadom, że za skromny traktament będzie chłopcu udzielał lekcyj muzyki, która według niego potrzebną jest dzisiaj do każdej wyższej karyjery.

Śród tak rozkosznych marzeń zaszło w domku ślusarza bardzo ważne zdarzenie. Ślusarz umarł niedoczekawszy się zaszczytów uprzywilejowanego dziecka, a biedna wdowa, więcej dla rzemiosła niżeli potrzeby serca, wyszła powtórnie za mąż, za starszego swego czeladnika.

Salusia nie zapomniała nigdy owych dni tak ważnych dla swego ulubieńca. Harmonijka jego wydawała tony tak smutne i rozdzierające, że biedna sierota często musiała ukrywać łzy przed babunią. Osobliwie, gdy po skwarnym dniu lipcowym nadszedł chłodny wieczorek, a księżyc srebrny fantastycznie cieniami drzew ozdobił domek ubogi — siadywała biedna sierota po całych godzinach przy oknie i wciągała do bolejącej duszy smutną skargę chłopca, któremu już ojca na świecie nie stało!

Sytuacyja chłopca jeszcze się bardziej pogorszyła, gdy matka powtórnie za mąż wyszła. Ojczym nie lubił harmonijki i chłopca, a że przytem lubił wódkę, wydarzało się często, że harmonijka umilknąć musiała i chłopiec na czas niejaki stawał się niewidzialnym.

Przerwy te dawnego porządku rzeczy powtarzały się co raz częściej — coraz dłużej milczała harmonijka i co raz dłużej nie było widać jasnowłosego chłopca na przyzbie domku.

W końcu zaś się stało, że chłopiec znikł na zawsze.

Samotnej Salusi smutno było, bo do harmonijki i chłopca już się była przyzwyczaiła. Czekała dzień jeden i drugi — czekała jeden tydzień i drugi — a chłopiec się niepokazywał.

Przy braku wszelkiej relacyi z domkiem ślusarskim nie mogła się nikogo zapytać, co się stało. Raz nawet nieoględne zapytanie sprawiło jej boleść niemałą. Gdy babunia była w dobrym humorze i z nadzwyczajną energiją pończochę robiła, odważyła się Salusia zapytać o zaginionego grajka.

— Czy słyszała babunia czasem.... jak to ten chłopiec jasnowłosy wygrywał na harmonijce?

— Czy ten terminator od kowala? obojętnie zapytała babunia nieprzerywając roboty.

— Nie babuniu... ten młodszy syn ślusarza który do szkoły chodził.

— A o cóż ci chodzi?

— Od trzech tygodni już go nie widzę!

— Zapewne nie chciał się uczyć i matka dała go do szewca.

Salusia poczerwieniała na twarzy.

— To być nie może! zawołała z energiją.

Babunia nie widziała wcale jej twarzy. Nie odrywając wcale oczu od pończochy odpowiedziała:

— To jest zwykła karyjera wszystkich pieszczochów rodzicielskich, którzy z powodu tych pieszczot nie chcą się niczego uczyć. Widziałam, że chłopca tego obsypywano w rodzinie pieszczotami. Dla dzieci potrzeba rygoru a nie pieszczot, bo później świat nie będzie się z niemi pieścił ale z rygorem obchodził. To sobie pamiętaj Salusiu, ile razy będzie ci się zdawać, że babunia jest ostrą dla ciebie!

Może słowa babuni były mądre — ale Salusia czem innem była w tej chwili zajętą. Coś ją w sercu bolało, że chłopca tego posłała babunia niemiłosiernie do szewca, że tak srogo poniżyła go przed nią i to wszystko uczyniła tak obojętnie!

Długi czas myślała nad temi słowami babuni, rozbierała je w braku innego zajęcia w swojej pięknej głowie — wychylała się przez okno czy zaginionego chłopca w lepszej szacie nieobaczy, aby babuni z radością tę nowinę powiedzieć — ale chłopca jak nie było, tak nie było! A nawet słowa babuni przybierały co raz więcej prawdopodobieństwa, bo domek ślusarski jakoś biedniał i smutniał — co raz więcej po każdym miesiącu, co raz rzadziej odzywał się w nim łoskot młotów i skrzyp pilników, ale za to co raz częściej słychać było z jego wnętrza jakieś słowa bezbożne i nieprzyzwoite, wymówione z wielką gwałtownością. Do tych słów dołączał się często płacz i krzyk boleści, a czułe serduszko Salusi ściskało się z żalu, że po zniknięciu jasnowłosego chłopczyka i zamilknieniu harmonijki zapanowało w domu takie wielkie nieszczęście.

Strwożona odbiegała wtedy od okna i tuliła się do łona babuni, jakby jej to nieszczęście zagrażało.

— Tak to bywa, mówiła wtedy mądra babunia—tak to bywa, jeżeli kobieta nie wybiera wedle potrzeby serca, ale interesem się kieruje! Pamiętaj Salusiu, abyś się dobrze swego serduszka poradziła, gdy ci przyjdzie wybierać towarzysza na całe życie!

Salusia wybuchnęła, niewiedzieć dla czego, głośym płaczem, przycisnęła główkę do piersi babuni i póty od niej się nie odłączyła, póki babunia nie ucałowała główki z krętemi włosami i czerwoną chustką nie osuszyła łez z błękitnych oczek.

II.

Od tego czasu minęło wiele wiosen. Babunia pochyliła się znacznie do ziemi, a Salusia znacznie do góry wystrzeliła. Miała już długą sukienkę, a nawet bywała na wieczorkach u pani Kasyjerowej, gdzie tańczono. Babunia otworzyła jej szerszy horyzont życia, a czego jeszcze przed nią wypowiedzieć nie chciała, o tem dowiedziała się wnuczka sama, częścią przez dziwny zbieg okoliczności, a częścią za pomocą wrodzonej intuicyi.

Z tą wiedzą przyszłych badań życia i jego obowiązków wyglądała Salusia uroczo. Miała wzrost słuszny, wysmukłą kibić, duże pałające oczy i różowe usta. Piękną głowę okrywały teraz grube sploty włosów, a pierś podnosiła się wysoko głębokiem westchnieniem, jakby w niej wrzała tęsknota za pełną czarą życia.

W mieście powiatowem uchodziła za piękność. Mężczyźni różnego kroju i fasonu radzi zdejmowali przed nią czapki i cylindry i było im bardzo miło, jeżeli za to otrzymali w zamian uśmiech figlarny, który jakby na zawołanie zdawał się wybiegać z dołeczków twarzy.

Co ten uśmiech znaczył i co się w tej pięknej głowie roiło, trudno odgadnąć. To tylko pewna, że w długich samotnych wieczorach,

czy to grała na fortepijanie, czy zamyślona na sofie siedziała—stawały przed jej oczyma jakieś dziwne obrazy minionej dziecięcej przeszłości!...

Czasami nawet, gdy jakieś tajemnicze echo śród ciszy strunę fortepijanu z lekka trąciło— zdawało się Salusi, że słyszy ową harmonikę chłopca, która dziesięć lat temu sprawiała jej tyle przyjemności!... Wtedy przy tej harmonice przypominała sobie i twarz chłopca. Była biała i sympatyczna— miała dwa ciemne oczy i jakiś słodki w nich wyraz. Widziała go wtedy chodzącego z książką pod pachą lub siedzącego z harmonijką na przyzbie domku. I wszystko przypominało się jej wtedy. Pogrzeb smutny starego ślusarza — powtórne wesele —zamilknienie harmonijki i zniknięcie grajka,

Do tych przypomnień przyłączyły się inne. Domek ślusarski zaczął podupadać. Nowy gospodarz narobił długów, dom sprzedano żydowi — matka chłopczyka jasno-włosego umarła — siostra gdzieś w świat poszła na służbę — tylko starszy syn pozostał przy firmie ojca i w ojcowskim niegdyś domu najął sobie kącik na warsztat i mieszkanie, aby w tem samem gnieździe, które za złe rządy zaprzepaszczono, dorobić się własnego gniazda.

Wszystkie te obrazy przechodziły przed nią w chwilach samotnych, a do nich nawiązywały się nowe, wczorajsze, przedwczorajsze— i wiązały się zwolna w marzenie młodej dziewicy.

Babunia cieszyła się z tych częstych marzeń Salusi, bo te były dla niej dowodem, że upragniony czas już nadszedł, w którym będzie się mogła wywiązać ze swoich obowiązków na ziemi, jakie jej jeszcze do spełnienia pozostawały. Salusia bowiem mogła już teraz wyjść za mąż, a babunia zamknie wtedy swoje powieki spokojnie. Nowy opiekun stanie przy sierocie i poprowadzi ją dalszemi drogami żywota. A będzie to opiekun wedle woli i rozumu babuni.

d. c. n.

JAK NALEŻY ROZWIJAĆ UMYSŁ DZIECKA?

napisał

Aleksander Głowacki.

(ciąg dalszy)

Uwagi ogólne.

Widzieliśmy, że zmiany zachodzić mogą we wszystkich tych własnościach, których tabliczka podaną została na właściwem miejscu. Widzieliśmy dalej, że dla zwrócenia uwagi ucznia na zmianę zaszłą w jakimś przedmiocie, należało przedmiot ten porównywać z innym, podobnym mu, w którym jednak zmiana nie zaszła; podaliśmy też w przytoczonych dyjalogach sposób, w jaki należy wykładać uczniowi tego rodzaju lekcyje.

Łatwo jednak zrozumieć że fakta cytowane przez nas w formie przykładów, w porównaniu z otaczającym nas światem, są bardzo nieliczne,—tu zaś chodzi o to aby uczeń jak największą liczbę ich poznał.

Celem zadośćuczynienia temu ostatniemu warunkowi, podamy tu kilka prawideł, które zresztą będą tylko streszczeniem i dopełnieniem tego co się już wyżej powiedziało.

1-o Dla zaostrzenia a raczej gimnastykonia uwagi ucznia, należy liczbę badanych przez niego przedmiotów coraz bardziej powiększać, a między nimi jeden, dwa, trzy i t. d. zmieniać. Tak np. z początku biorę kilkanaście przedmiotów, i każe uczniowi zwrócić uwagę na ich kolor: następnie w kilku z nich kolor ten zmieniam i zapytuję ucznia: które przedmioty zmieniły się? jaki kolor miały przedtem a jaki teraz? czy stały się ciemniejsze czy jaśniejsze? i t. d.

Bardziej złożone ćwiczenia w tym rodzaju będą wówczas, jeżeli w kilkunastu przedmiotach każemy zwracać uczniowi uwagę, na dwie lub trzy własności np. na *kolor i formę* albo na kolor, formę i *wielkość*, i zmieniwszy w kilku przedmiotach jednę, dwie trzy własności, spytamy się następnie: które przedmioty i pod jakim względem zmieniły się?

2-o Już z powyższego okazuje się, że przy tego rodzaju lekcyjach, na pamięć ucznia nie bardzo rachować można. Dla tego też nigdy nie przestaniemy zalecać, aby uczeń utrwalał sobie to co widzi i słyszy, za pomocą pewnych znaków zewnętrznych. Niech więc, kiedy mowa o kolorach, utrwala je za pomocą farb, —formę za pomocą rysunku, wielkość podobnież za pomocą rysunku lub miary,— zapach, smak, stopień oporu i twardości za pomocą przedmiotów posiadających cechy te w tym samym stopniu i t. d. Wszystko zaś to co się nie da utrwalić za pomocą okazów, należy utrwalać za pomocą pisma, czyli notować.

3-o Tak własności jak i zmian uczeń powinien szukać wszędzie. Niech więc bada np. co się robi z podłogą gdy ta jest długo nie zamiatana; jakie zmiany dostrzedz można w ciągu dnia w zegarze: co się robi z drzewem gdy je palimy; co się robi z wodą która kilka dni stoi w szklance; w jaki sposób zmieniają się: chleb masło, mięso, w ciągu pewnego czasu. Niech uczeń także przypatruje się ludziom i obserwuje jakie zmiany zachodzą w różnych częściach ich ciała przy rozmaitych czynnościach; a także jakim zmianom ulega ich fizyjognomija podczas smutku, płaczu, śmiechu, gniewu. snu i t. p. Niech również obserwuje zwierzęta, a także rośliny w epoce ich kiełkowania, wzrostu, kwitnięcia i obumierania. Niech patrzy na ruch gwiaździstego nieba podczas nocy, a także niech uważa ruch księżyca między konstelacyjami. Słowem niech zwraca uwagę na wszystko, a taka dopiero nauka zajmie go, rozwinie umysł, podniesie uczucia, krótko mówiąc, zrobi go człowiekiem.

C. Badania przedmiotów.

Wiemy już co to jest własność i tak np. jeżeli weźmiemy dwie następujące grupy przedmiotów:

kanarek, cytryna, sztuka złota;
węgiel, smoła, atrament

i zwrócimy na nie wzrok, to okaże się, że przedmioty pierwszej grupy są żółte i tą cechą różnią się od przedmiotów drugiej grupy które są czarne.

Na pytanie więc: co jest własność przedmiotów? odpowiedzieć możemy dwoma twierdzeniami: 1-o że jest to pewna cecha przedmiotu która oddziaływa na jakiś zmysł nasz, i,—2-o że jest to cecha która dany przedmiot robi podobnym do pewnej grupy, a zarazem wyróżnia go od przedmiotów innej grupy, która tej cechy nie posiada. W powyższym np. przykładzie żółtość kanarka robiła go podobnym do cytryny i złota, a zarazem wyróżniała go od węgla, smoły, atramentu i wszystkich innych przedmiotów nie będących żółtemi.

Po takim określeniu pojęcia własności, możemy się posunąć krok naprzód.

Czem jest przedmiot w sobie samym; czem jest istota przedmiotu, tego nie wiemy; wiemy tylko to, że rozmaite przedmioty posiadają rozmaite własności, czyli rozmaicie oddziaływają na nasze zmysły. Na tem opiera się cała nasza wiedza, tym sposobem określamy sobie przedmiot.

Widzimy więc że określić przedmiot znaczy to wyliczyć rozmaite jego własności; im więcej tych własności znamy i im więcej ich pamiętamy w danej chwili, tym dokładniejsze mamy o przedmiocie wyobrażenie.

Wskazawszy w poprzedzających rozdziałach w jaki sposób należy prowadzić naukę z dziećmi, przy dalszym wykładzie nie będziemy się już posługiwać dyjalogową formą, z której niektórzy mogliby wziąść asumpt do sądzenia, że najlepiej za pomocą katechizmowych pytań i odpowiedzi, rozwija się umysł dziecka.

Mamy więc wychowańca naszego wyuczyć sposobów badania przedmiotów.

Aby rozwiązać to zagadnienie, musimy przystępować do niego z uczniem, który umie dokładnie posługiwać się zmysłami i wie na jakie własności należy zwracać uwagę. I w tym razie jednak można, a nawet potrzeba ulżyć w pracy dziecku, uciekając się do pomocy metody porównawczej.

Nie jednemu bowiem zdawać się może, że uczeń który przerobił już ćwiczenia w rozdziałach poprzednich podane, z całą łatwością wyliczy wszystkie własności przedmiotu; jaki mu podsuniemy. Z własnego jednak doświadczenia wiem, że pomimo tych ćwiczeń, tylko dzieci obdarzone wielką pamięcią i silną wyobraźnią potrafią co najwyżej kilka własności najprostszych przedmiotów wyliczyć. Dzieci zaś miernych zdolności potrzebują pomocy i objaśnień.

Otóż najpierwsze objaśnienia jakie tu dziecku dać musimy są te, aby: 1-o *przedmiot który opisać ma dokładnie obejrzało ze wszystkich stron, 2-o aby porównywało go z innym, który uważa za najpodobniejszy, 3-o aby na oba z nich kolejno zwracało każdy zmysł.*

Miejmy np. opisać *cytrynę.*

W tym celu należy obok cytryny położyć naprzód pomarańczę a wówczas dziecko z całą łatwością uchwyci różnicę między temi przedmiotami istniejące i na tej zasadzie wnet powie nam, że cytryna jest żółta, ma formę podługowatą, posiada w jednym końcu wyrostek i jest mniejszą od pomarańczy. Słowem wy-

liczy nam różnicę między cytryną i pomarańczą.

Gdy już w badaniu tym pomarańcza oddała nam usługi jakie mogła, wówczas na miejscu jej należy położyć jabłko i z niem porównywać cytrynę. Naturalnie dziecko znowu dostrzeże przedewszystkiem różnicę i otóż usłyszymy, że cytryna jest miększa niż jabłko, że ma kolor jednostajny, że na powierzchni jej znajdują się zmarszczki i kropki, że wreszcie, jeżeli cytrynę ściśniemy, wówczas z powierzchni jej wytryśnie płyn ostry i pachnący. Najważniejszem, jak w obecnej chwili będzie dla nas to, jeżeli dziecko nam powie, że cytryna jest przedmiotem pojedyńczym, jabłko zaś jest przedmiotem złożonym, obok bowiem owocu znajduje się korzonek.

Z tego faktu wychodząc, możemy zaraz dziecku zacytować nowe prawidło, to mianowicie, aby: przedmiot złożony rozkładało na części, bądź faktycznie bądź tylko w myśli, aby każde z tych części badało tak jak oddzielną całość.

d. c. n.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił

Jan ze Śliwina.

VI.

Gubernija Grodzieńska.

(Ciąg dalszy).

A więc na drobiazgi nie miał czasu. Może żanadto ufał ludziom go otaczającym, a ci go rzeczywiście zdradzali. Bohomolec, sekretarz jego osobisty i kilku innych do niego zbliżonych, nadużyli zaufania, ulegli chęci wzbogacenia się i przeniewierstwa dopuścili się. To właśnie wykryli zawistni i posunęli zuchwalstwo do oskarżenia samego Tyzenhauza. Wyznaczoną została komissyja, z najnieprzyjaźniejszych mu ludzi złożona — lecz żaden osobistej winy Tyzenhauza wykryć niezdołał. Nie pomogło to jednak. Sam Król bronił go na sejmie grodzieńskim r. 1784 mówiąc: „ten świetny obywatel chciał jak najlepiej, a jeźli zbłądził, to dla tego, że zbyt wiele od razu dobrego chciał rozpocząć, gdy zaś gmach dzieł jego zbyt ogromny zatrząsł się, chwytał co prędzej podpory, a te w jego ręku łamały się.“ I to niepomogło. Tyzenhauz odsądzony od zarządu ekonomijami, straciwszy milijonowy majątek własny, opuścić musiał swe ukochane Grodno i prawie w ubóstwie w roku następnym życia dokonał.

Tryumf nieprzyjaciół był najzupełniejszy. Z upadkiem Tyzenhauza upadły i dzieła jego. Grodno wróciło do dawnego nicestwa. Ze wszystkich zakładów i urządzeń nic nie zostało. Zostały tylko ruiny i wspomnienia. Kraj nic nie skorzystał i nikt zastanowić się nie chciał nad doniosłością jenijalnych reform i przeobrażeń Tyzenhauza, bo wszystko co robił, robił nie dla siebie, nie dla Grodna; ale dla kraju całego; bo jeźli podpory łamały się, jak mówił król, trzeba było podać mu nowe, chociażby nawet z wysileniem jak na owe czasy, bo czas sowicie by wynagrodził straty, a kraj by zakwitnął handlem i przemysłem, dobrobyt ludu sumienie niejednego by zaspokoił.

Litwa i Ruś wydały niejednego męża wielkich cnót, zdolności, prawości charakteru i poświęceń bez granic dla kraju. Na każdem polu przyświecają nam sławni mężowie jak Ostrogscy ojciec i syn, kilku Radziwiłłów, Roman Sanguszko, bitny Chodkiewicz, znakomity prawodawca Lew Sapieha i tylu innych — lecz naszem zdaniem, pod względem *organizacyjnego* jenijuszu, wszystko obejmującego i zdolnego zaradzić potrzebie czasu pod względem olbrzymiej twórczości umysłowej, połączonej z energiją, niezłomną siłą woli i umiejętności dwie postacie szczególnie, jak gwiazdy przewodnie przyświecają Litwie: *Witold* i *Antoni Tyzenhauz*.

Jednego i drugiego złość ludzka złamała. Jeden i drugi za wiele dobrego chcieli dla kraju, by nieobudzić nikczemnej zazdrości, i nie wywołać nawet zbrodni — dla obalenia ich potęgi i zniweczenia ich zamiarów.

Rzecz smutna! I jeden i drugi nie mają dotychczas dobrze i bezstronnie opracowanych monografij!

Wracamy do Grodna.

Do wspomnień dziejowych należy, że tu 7 czerwca 1492 zakończył życie Kazimierz Jagiellończyk, a 12 grudnia 1576 tu umarł Stefan Batory.

Według urzędowych wiadomości z r. 1856 mieszkańców w Grodnie było 18,386. W r. zaś 1870 — 23,499. Większa połowa mieszkańców żydzi. Dawniej kościołów było 11, z tych farny założony przez Witolda pod koniec XIV wieku. Był to pierwszy kościół katolicki. Później fundowani tu Bernardyni 1595, Bernardynki 1620, Dominikanie 1633, Brygitki 1643, Jezuici 1647, Karmelici 1676 i Franciszkanie. Obecnie jest 6 prawosławnych cerkwi i 2 klasztory. Pod względem żarządu duchownego gubernija grodzieńska należy do arcybiskupstwa prawosławnego litewskiego i Wileńskiego, którego arcybiskup mieszka w Wilnie, w Grodnie zaś rezyduje wikaryjusz litewskiej dyecezyi biskup brzeski. Tak samo i Rzymsko-katolicy w gubernii Grodzieńskiej podlegli są zarządowi dyecezalnemu w Wilnie *). W gubernii Grodzieńskiej jest obecnie 9 katolickich dekanatów, jako to: Grodzieński, Wołkowyski, Słonimski, Kobryński, Prużański, Brzeski, Białostocki, Bialski i Sokolski. Z klasztorów zakonnych w Grodnie są: Franciszkański i Brygidek, oraz Bernardynek w Słonimie. Domów w Grodnie 1602. Przestrzeń ziemi pod miastem, 3,547 dziesięcin. Port niemeński wysyła towarów rozmaitych, przeważnie zboża przeszło na milijon rubli rocznie, a przyjmuje na summę do pół milijona. Wszakże stali miejscowi mieszkańcy bardzo mały biorą w tym udział. W ogóle handel i przemysł w zaniedbaniu, a jaki ten jest, w ręku żydów. Rzemiosła w upadku.

*) Do dyecezyi rzymsko-katolickiej Wileńskiej należą obecnie trzy gubernije: Wileńska, Grodzieńska i Mińska w których razem jest 32 dekanaty. Kapitułę katedralną składa 9 pralatów i 8 kanoników. W Akademii Duchownej w Petersburgu jest alumnów 8, w seminaryjum dyecezalnem alumnów 37.

Do najstarożytniejszych osad gubernii Grodzieńskiej należy podług świadectwa kronikarzy *Brześć Litewski*, dawny słowiański *Beresten*, albo *Berestje* *). Podanie ludowe taki daje początek miastu. Niejaki bogaty pan w dawnych wiekach przebywając tu wielkie błota, *brzostem* porosłe, zagrzązł tak, że dla wydobycia się z nich musiał naściełać drogę chrustem ze ściętego brzostu, a wydostawszy się z trzęsawisk na pobrzeżu wzniósł cerkiewkę — i miejsce to nazwał *Berestje*. Już w wieku X była tu osada słowiańska z warownym grodem. W XI wieku toczy się walka o to miasto między Bolesławem Chrobrym i Jarosławem W. ks. kijowskim. W r. 1182 Kazimierz Sprawiedliwy zawładnął Brześciem, ale później najazdy Mongołów zniszczyły miasto i dopiero w r. 1275 Włodzimierz książe Wołyński odbudował zamek i wzniósł *Stołp*, to jest wieżę starodawnym zwyczajem. W r. 1289 widzimy tu już ludne miasto, z którego Mścisław Daniłowicz książe wołyński i łucki bierze daninę, podzieloną nie na głowy, ale już *na setki* mieszkańców, tak że każde *sto* mieszczan składać musiało 2 łukna miodu, 2 owce, 50 dziesiątków lnu, 100 chlebów, 5 cebrów owsa i tyleż żyta, kury po *tołku* od każdego sta i po grzywnie kun. Dowodzi to, że Brześć już był nie tylko ludny, ale i zamożny. W r. 1319 Gedymin W. ks. litewski zajął Brześć i tu przepędził całą zimę. Odtąd Brześć już stale do Litwy należał, otrzymał nazwę *litewskiego* i później stał się stolicą województwa *brzesko-litewskiego*. Daniel Halicki, król Kazimierz W. usiłowali oderwać Brześć od Litwy, ale naprożno. Na początku XVI wieku Brześć należał już do najludniejszych i najzamożniejszych miast w kraju. Ale do prawdziwie kwitnącego stanu doprowadził miasto sławny Mikołaj książe Radziwiłł Czarny, przyjaciel i doradca najbliższy Zygmunta Augusta, a brat stryjeczny Barbary. Był on starostą Brzeskim i tu szczególnie rozszerzył protestantyzm. Założył zbór kalwiński, którego ministrem był znakomity Szymon Zacyusz z Proszowic. Później Radziwiłł sprowadził głośnego mówcę Bernarda Wojewódkę z Krakowa. Tu właśnie wyszła z drukarni przez Mikołaja Czarnego założonej, sławna Biblija brzeska, Radziwiłłowską zwana, dziś do największych rzadkości biblijograficznych należąca. Ks. Radziwiłł wyłożył na jej wydanie 5000 dukatów, a po jego śmierci, syn jego Jerzy, nawrócony przez Jezuitów na wiarę katolicką i jeszcze młodzieńcem biskupem wileńskim przez Ojca św. mianowany (później kardynał i biskup krakowski), przeznaczył takąż summę, t. j. 5000 dukatów na wykupienie rozpowszechnionych po całym kraju między kalwinami egzemplarzy tej Biblii, jakowe uroczyście przez kata spalone zostały w Wilnie przed kościołem świętego Jana.

*) Tak się nazywał nawet w roku 1501, jak widać z rządowej tabeli poborów, która zobowiązywała miasta litewskie do dostarczenia skór sobolów, sukna i t. d. Podług tej tabeli *Wilno*, nazywało się *Wilno*, a nie *Wilna*, jak mianuje Braun na swoim planie, oraz łacińscy kronikarze; *Grodną — Horoden; Mińsk — Menesk; Orsza — Rsza* i t. d. Ob. Akty Zach. Ros. t. 1., N. 193.

Brześć pamiętny także synodem, powszechnie zwanym *brzeskim*, który tu odbył się 2 grudnia 1594 r. i dał zawiązek *unii* kościoła wschodniego z rzymskim, która trwała na Rusi i Litwie 245 lat, do roku 1839, kiedy unici wedle inicyatywy arcybiskupa (później metropolity) Józefa Siemaszki połączyli się z prawosławnymi.

Od czasu Zygmunta III ośm klasztorów tu założono, jako to: Bernardynów, Bernardynek, Augustyjanów, Trynitarzy, Brygidek. Dominikanów, Bazylijanów, i kollegium Jezuitów.

Niepodajemy tu innych szczegółów historycznych. Czytelnik znajdzie je u Kraszewskiego (obrazy z życia i podróży 1842), Balińskiego (Starożytna Polska) i u innych.

Brześć Litewski leży na prawym brzegu rzeki Bug, przy wpadnięciu do niej Muchowca. Położenie jego nadzwyczaj dogodne pod względem strategicznym od dawien dawna zwracało na siebie uwagę, o czem już znany Maurycy de Saxe w dziełach swych o sztuce wojennej wspomina. Po r. 1831 na posadzie dawnego Brześcia zaczęto wznosić silną twierdzę, która dziś do pierwszorzędnych w państwie należy. Wtedy to zupełnie zniesiono, lub przerobiono na gmachy forteczne 7 kościołów z klasztorami, kościół farny, klasztor zakonników prawosławnych, 3 cerkwie unickie, kościół refermowany i t. d. Pozostał tylko w samej fortecy dawniejszy kościół dominikański, w którym parafijalne nabożeństwo odprawia się. Miasto zaś powiatowe dzisiejsze zbudowane na prawym brzegu Muchowca o $1\frac{1}{2}$ wiorsty od fortecy, a na lewym brzegu tegoż Muchowca przedmieście Wołyńskim zwane. W r. 1870 ludność Brześcia wynosiła 22,052. Ziemi miejskiej 1200 dziesięcin. Domów 812, 17 składowych magazynów, 426 magazyny, rozmaitych zakładów fabrycznych 23. Pod względem handlowym, Brześć zajmuje ważne miejsce, położony bowiem nad Bugiem korzysta z systemu wodnego, które Bałtyk z Czarnym morzem łączy. Nadto sieć kolei żelaznych przechodzi tu w kilku kierunkach: do Warszawy, do Kijowa i dalej do Odessy, do Mińska i dalej na Smoleńsk do Moskwy.

Za miastem na płaszczyznie, na prawym brzegu Muchowca mnóstwo kurhanów szczęty pierwotnych mieszkańców słowiańskich pokrywające, a śród nich jeden panujący nad innemi, zapewne wodza lub księcia jakiego. *Słonim* tak samo należy do bardzo dawnych osad. Już w r. 1040 Jarosław W. książe ruski, syn Włodzimierza stoczył walną bitwę na polach słonimskich z litwinami. Kajdan wódz Batego najechawszy z Mongołami zburzył Słonim w r. 1241 i zamek z ziemią zrównał. Lecz wkrótce Erdziwiłł książe litewski wypędził mongołów i zamek odbudował, a od r. 1258 gród ten już stale do Litwy należał. Słonim posiadał kilka bardzo starożytnych cerkwi wschodniego obrządku, z katolickich klasztorów były tu Bernardynów, Bernardynek, Franciszkanek, Dominikanów i kollegijum Jezuitów. W drugiej połowie przeszłego stulecia, na początku panowania Stanisława Augusta srarostą słonimskim został Michał książe Ogiński, hetman litewski. On to znacznie dzwignął Słonim, mieszkając tu stale z licznym dworem. W pałacu jego głównym liczono 116 sal i pokojów, nadto były dwa inne pałace, dom opery, baletu, ujeżdżalnia, wspaniałe i rozległe parki i ogrody. W r. 1777 Ogiński założył tu drukarnię, w której najwięcej własne utwory drukował. Jemu też zawdzięczać należy połączenie Jasiołdy ze Szczarą, a przez to Niemna z Dnieprem. Kanał ten przez sam Słonim płynął i zachował nazwę Ogińskiego. To dało możnośé rozszerzenia znacznego bardzo handlu zbożem i lasem.

Wiemy już, że czas jakiś słonim był miastem gubernijalnym nowo utworzonej gubernii słonimskiej, po skasowaniu której, w r. 1797 został miastem powiatowem.

Obecnie w Słonimie 811 domów, z tych 66 murowanych. Mieszkańców w r. 1870 liczono 10021. Ziemi pod miastem 247 dziesięcin, a nadto w posiadaniu miasta 1123 dziesięcin. Jest tu i dziś znaczna fabryka sukna i kilka innych fabryk. Handel i dziś dość znaczny, a port tutejszy uważany za bardzo dogodny, skład zaś towarów bywa bardzo wielki. Las i zboże transportują stąd wodą głównie do pruskich portów.

O dwie mile od Słonima, między wzgórzami wznosi się klasztor i cerkiew ze słynnym na całą Litwę od wieku XV cudownym obrazem Bogarodzicy w miasteczku *Żyrowicach*. Podanie miejscowe mówi, że w rozległej puszczy pasterze znaleźli w r. 1480 na gruszy niewielki obraz. Uwiadomiony o tem właściciel puszczy i dóbr przyległych, otrzymanych od Kazimierza Jagiellończyka w nagrodę wielkich zasług, Aleksander Sołtan, pośpieszył na miejsce, a widząc cudowne w tem objawienie, natychmiast wzniósł na tem miejscu świątynię wschodniego obrzędu, którego i sam był wyznawcą. Wielki ołtarz stanął właśnie na tem samem miejscu, gdzie była grusza z obrazem Bogarodzicy. Koło roku 1560 cerkiew ta zgorzała; ale podczas pożaru obraz zniknął z ołtarza, i znaleziono go na pochyłości pobliskiego wzgórza, gdzie sterczał wielki głaz granitowy. Z uroczystą procesyją przeniesiono obraz do domku na ten cel wzniesionego, aż nim niestanęła nowa murowana cerkiew, zbudowana kosztem Jana Sołtana marszałka słonimskiego. Po wprowadzeniu unii, Jan Mieleszko, kasztelan smoleński w r. 1603 wprowadził tu zakon Bazylijanów, znacznie uposażony przez sławnego Lwa Sapiehę kanclerza W. L. Żyrowice słynęły przez wszystkie wieki cudownym obrazem i tłumy niezmierne ściągały pobożnych. Władysław IV, Jan Kazimierz, Jan III z synem Jakóbem, August II i w końcu Stanisław August również odbyli podróż do Żyrowic. Atanazy Szeptycki metropolita unicki w r. 1730 w asystencyi kilku biskupów odbył akt koronacyi obrazu. Korona była bardzo kosztowna, drogiemi kamieniami osypana, sporządzona przez Annę z Sanguszków Karolowę Radziwiłłową i jej syna Hieronima. Obraz Bogarodzicy podługowaty, na jaspisie rznięty, na dwa cale szeroki a półtrzecia długi, za szkłem, w bogatej od złota i srebra oprawie (ryzie). Za wielkim ołtarzem przechowuje się ów granit, na który przeniosła się N. Panna w czasie pożaru wysoki na 2, długi 3 i szeroki $1\frac{1}{2}$ łokcia. Zowią go *stopką* N. Panny; upatrują bowiem na nim ślady ręki nawet siedzenia Bogarodzicy. Znaną jest powszechnie pieśń Skalskiego bazylijana, zaczynająca się od wierszy:

Żyrowice łask krynice, na cały świat wylały,
Gdy Maryją, jak liliją, gruszcze ukazały...

W dalszym ciągu pieśni ciekawy ustęp:

Jan Sobieski
Król to Lechski,
Wotum swoje oddaje,
Że to nowa,
Częstochowa,
Obrazowi przyznaje *).

d. c. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Pełni smutnego przeczucia polecieliśmy z Billem w tę stronę, a stanąwszy na pochyłości pagórka o jakie dwieście metrów od drzewa pod którem usadowiliśmy się byli, zobaczyliśmy że ogień zajął już ogromną przestrzeń i zbliżał się w naszę stronę.

Zaledwie mieliśmy czas rzucić okiem, kiedy pożar z trzaskiem i świstem ukazał się tuż na przeciwko nas i zasłonił nam widok stepu jakby murem z płomieni.

Ale dosyć było tego krótkiego spojrzenia, zrozumieliśmy położenie nieszczęśliwego towarzysza, nie niebezpieczeństwo to, ale śmierć mu groziła niechybna.

Stał jeszcze w tem samem miejscu na którem widzieliśmy go poprzednio, nie probował widać nawet żadnych usiłowań ucieczki. Powstrzymywała go pewność że to się na nic nie przyda. Powiedział sobie że tak samo dobrze zginąć na miejscu jak i w czasie ucieczki—i pozostał.

Co za okropność widzieć tego starca, jakkolwiek zatwardziałego grzesznika, przerzuconego tak nagle do wieczności. Przypominam sobie jego dziką postawę, kiedy czerwone bałwany pożaru przewalając się pomiędzy nami a nim, zakryły go nakoniec przed naszemi oczami. Widzieliśmy go przez chwilę, ramio-

---

*) Istnieją szczegółowe opisy cudów, jakich pobożni doświadczali w Żyrowicach, między innemi opowiadają nawet o wskrzeszeniu zmarłej *Reginy Wojnianki* bardzo bogatej panny. Ale w tej epoce cudów Bazylijanie byli tak szczęśliwi, że zdołali znaleść i drugi obraz Żyrowieckiej N. Panny w *Rzymie*, w r. 1719, w zakrystyi, na murze, w r. 1729 przeniesiony do sporządzonego przez Ignacego Kulczyńskiego przełożonego zgromadzenia Bazylijanów w Rzymie wspaniałego ołtarza z marmuru. Od tego i sam kościół ten w Rzymie nazywa się *Żyrowickim; della Madonna del Pascolo*, bo *pascolo* znaczy *żer, pasza*.

na tylko i głowa ukazywały się po nad buchającą pożogą. Nie dał nam żadnego znaku, nie wołał, nie poruszył ręką, ale i z tej odległości nawet, czytam dokładnie straszną rozpacz w jego spojrzeniu...

Stary strzelec zgubiony...

ROZDZIAŁ XXVII.

R u b e.

Staliśmy nieruchomi i osłupiali nie mówiąc do siebie ani słowa. Obadwa słyszeliśmy dokładnie jak nam serca biły gwałtownie. Moje pękało z gorzkiej boleści, ale wiedziałem że i mój towarzysz cierpiał nie mniej dotkliwie. Podniosłem na niego oczy, miał wzrok nieruchomo w jeden fatalny punkt wlepiony, jak gdyby chciał przebić zasłonę ognistą która oddalała się od nas coraz więcej, żeby się zbliżyć do biednego Ruba. Wyraz twarzy Gareja był strasznym, w oczach od czasu do czasu zakręciła się łza i spływała po ściemniałym od zmian powietrza policzku, nieprzyzwyczajonym do podobnej czułości. Szerokie piersi podnosiły się gwałtownie jakby dla złapania tchu. Tak mając oczy ciągle w jedno miejsce zwrócone, przysłuchiwał się jakby oczekując ostatniego śmiertelnego jęku, starszego towarzysza i doświadczonego przyjaciela.

Nie długo zostawaliśmy w niepewności, chociaż żaden krzyk, żadna skarga nie oznajmiła nam, że już wszystko skończone. Gdzieby zresztą pośród takiego szumu i trzasku jakby nieustający ogień rotowy, mógł do nas dojść głos jaki. Nic podobnego do nas nie doszło, jednakże byliśmy zadowoleni że nareszcie już się zakończył ten przykry dramat. Nieszczęśliwy strzelec był żywcem spalony...

Płomienie minęły właśnie miejsce na którem po raz ostatni widzieliśmy naszego kamrata i postępowały coraz dalej, zostawiając za sobą ziemię zczerniałą i zwęgloną. Chociaż kłęby czarnego dymu step nam zasłaniały, widzieliśmy że spełniła się już fatalność, że nieszczęśliwa ofiara nie żyła. Nie pozostawało jak tylko odszukać szczątki pomiędzy tlejącym jeszcze popiołem. Aż dotąd Garej stał sztywny, nieporuszony, milczący jak posąg, to nie nadzieja go tak przykuła do ziemi. Od pierwszej chwili zrozumiał że niebezpieczeństwo było nieuchronne, to był rodzaj paraliżu spowodowanego rozpaczą.

Kiedy zobaczył że ogień przeszedł po za miejsce gdzie był jego przyjaciel, muskuły natężone zwolniły nagle, opuścił ręce, łzy obfite puściły mu się po twarzy, opuścił z boleścią głowę i zawołał ochrypłym głosem:

— Mój Boże to i wszystko skończone. Byliśmy świadkami ostatniej chwili nieszczęśliwego Ruba.

Mój smutek chociaż mniej może głęboki, jak smutek mojego towarzysza, był jednakże gwałtowny. Znałem oddawna starego strzelca, podzielałem z nim niebezpieczeństwa, które silniej jak wszelkie stosunki światowe łączą ludzi w serdeczne ogniwa. Nie raz widziałem go wystawionego na ciężką próbę i wiedziałem że mimo swojego dzikiego humoru i charakteru oryginalnego, mimo wad swoich nawet, jego serce — spaczone przez złe wychowanie, psute później przez złe towarzystwa— było bardzo bogate jeszcze.

Ruba z Garejem łączyło daleko silniejsze uczucie. Towarzysze nierozdzielni od lat bardzo wielu, dzielili z sobą dolę i niedolę: a choć była może ogromna różnica w ich skłonnościach wieku i charakterze, zgadzali się z sobą jak bracia. Cóż dziwnego jeżeli z wyrazem niewypowiedzianej boleści młodszy strzelec przypatrywał się tej spalonej fatalnej łące.

Nie umiałem nic mu odpowiedzić na wybuch rozpaczy, nie byłem go wstanie pocieszać, sam będąc zmartwionym, milczenie moje mówiło mu że rozumiałem jego ciężką boleść.

Po chwili odezwał się głosem drżącym ze wzruszenia.

— No kapitanie, na nic się szlochanie nie przyda — toć my nie stare indyjanki...

I odwróciwszy się jakby zawstydzony swoją słabością, obtarł łzy szeroką dłonią.

Już wszystko skończone. Chodźmy poszukać kości i pogrzebmy je przynajmniej po chrześcijańsku. No chodź ze mną.

Wsiedliśmy na konie żeby na step pojechać. Biedne zwierzęta czując gorąco, kręciły się i grzebały popiół pod którem ogień tlał jeszcze.

Dym nam dokuczał i niepozwalał patrzeć przed siebie, miarkując się jak było można, podążaliśmy do punktu w którym zginął stary strzelec, aby zebrać jego szczątki...

Przybywszy na miejsce zobaczyliśmy jakąś czarną spaloną bryłę leżącą na ziemi, ale zdawała nam się daleko większą od ciała ludzkiego. Nie mogliśmy pojąć co by to być mogło, dopiero postąpiwszy naprzód kilka jeszcze kroków, z trudnością poznaliśmy że ta bezkształtna masa, to korpus upieczonego bawołu. To zapewne zwierzyna którą zabił strzelec, leżała tak jakby na wznak upadła, nogi miała wyciągnięte a na grzbiecie wznosił się jakby olbrzymi garb.

Mogliśmy zauważyć że nieszczęśliwy strzelec dokończył oporządzanie bawołu, bo wzdłuż krzyża był on obdarty, część mięsa z boków i ze grzbietu pod skórą wycięta, tak że lukę w ten sposób w miejscach tych uformowaną, pokrywała zwieszająca się skóra. Wszystko spalone było na czarny węgiel. Ale nigdzie nie było widać resztek zwłok biednego strzelca. Dym o tyle się już rozszedł że mogliśmy najmniejszą rzecz zauważyć na ziemi zupełnie nagiej, nie znaleźliśmy jednak nic. Ale prawda tuż przy korpusie zwierzęcia leżało coś co zwróciło naszę uwagę, zbliżywszy się poznaliśmy atoli że był to żołądek i wnętrzności bawołu, na w pół spalone.

Śledziliśmy okiem płomień który z nieustającą wściekłością rozlewał się w dal stepu.

Nie było podobna ażeby Rub się stąd wymknął, nie zdawało się nam iżby nawet probował ucieczki. Czyż to możliwe zemknąć przed pożarem na stepie?.. Widocznie że i kości jego zupełnie się spopieliły, i oto przyczyna zupełnego zniknięcia szczątków naszego przyjaciela.

Siedzieliśmy na koniach miotani najsmutniejszemi uczuciami, nie mówiąc do siebie ani słowa... Rozglądaliśmy się na wszystkie strony, a że dym się rozwiał zupełnie, mogliśmy widzieć dokładnie całą powierzchnią łąki, ale na niej nic nie było takiego coby podobnem było do szczątków człowieka.

Ani znaku odezwał się z głębokiem westchnieniem Garej — biedny, poczciwy Rube! ogień zamienił Cię w popiół nie zostało z Ciebie nawet na nałożenie fajki...

Kłamstwo! odezwał się jakiś głos, ażeśmy zadrżeli na koniach — bo zdało nam się że to widmo zmarłego przemówiło tak do nas. Kłamstwo powtórzył głos, jakby z pod ziemi tuż z pod naszych nóg wychodzący. Zostało jeszcze dosyć ze starego Ruba, zostało tyle że starczyło na zapełnienie bawolego brzucha, ale na Jozefata dolinę, na którą podług was jużem się przeniósł, nie jest mi tutaj za zbyt obszernie. Oh! jestem na pół zaduszony — ledwie oddycham — podajże mi rękę Bill, i wydobądź mnie z tego schowanka.

I na nasze niewypowiedziane zdziwienie obwisłą skórę bawołu, jakaś niewidzialna ręka podrzuciła w górę a po za nią ukazała się z otworu zrobionego w brzuchu zwierzęcia, fizyjonomija której nie podobna było nie poznać.

Było zaprawdę coś tak w tem zjawisku śmiesznego, że parsknęliśmy serdecznym śmiechem, wydając przy tem dzikie okrzyki aż konie przestraszone zaczęły się wspinać i skakać jak gdyby przed atakiem czerwonoskórych.

Spostrzegłem że i Rube miał minę nie do płaczu ale zmarszczył się zaraz, bo go nieustający śmiech Billa zniecierpliwił.

— A idź że do ciężkiego licha ze swoim szatańskim śmiechem, zawołał nakoniec; podaj mi lepiej rękę, pomóż mi niech się wyprostuję. Przeklęta kryjówka, nie jest teraz taka szeroka jak kiedym w nią właził. No Bill spiesz się mój chłopcze — bom na pół upieczony.

Garej zeskoczył żywo z siodła — pochwycił starego za rękę i wydobył z ukrycia. Kiedy Rube stanął na nogach, czerwony i dymiący się jak pieczeń, a przytem cały zatłuszczony w dodatku — nie mogliśmy wytrzymać i znowu wybuchnęliśmy gwałtownym śmiechem.

Rube nie zważał na nasz humor wesoły, tylko pochylił się i wydobył jeszcze z tegoż samego schowania długi swój karabin, i przyjrzawszy mu się na wszystkie strony czy się nie uszkodził przypadkiem, położył go delikatnie na rogach bawolich. Następnie wydobywszy nóż z za pasa zabrał się spokojnie do dalszego oprawiania bawołu jak gdyby nic nigdy nie zaszło. My śmieliśmy się tymczasem z Garejem i dopytywali o szczegóły przygody. Ale Rube jakiś czas udawał głuchego, widocznie był obrażony żeśmy śmiechem powitali jego zmartwychwstanie.

Ale to był tylko figiel, Garej wiedział o co to chodzi, jakoż podał mu manierkę z resztkami kropli długiego życia—i tem udobruchał go w krótce.

Zaraz też potem Rube tak się do nas odezwał:

— Jeszczeście moi chłopcy piaskiem się w najlepsze bawili, jeszcze nie mieliście w buziach zębów, które pozwalały by wam myśleć o walce z niedźwiedziem lub Indyjaninem, czyli że będzie temu lat około czterdziestu, byłem już raz w czasie podobnego pożaru na

stepie. Nie dziwię się że ten malec wziął mnie za niedołęgę, jak już kiedyś wziął mnie za niedźwiedzia, rzecz to nawet bardzo naturalna. Ależ ty powinieneś mnie znać trochę lepiej Billu Gareju, bo znasz mnie od wieków. Skoro więc ciągnął Rube dalej, pociągnąwszy parę nowych łyków, skoro otóż zobaczyłem ogień zmiarkowałem od razu że nie ma co rachować na nogi. Jeszcze gdybym się był spostrzegł odrazu, to sprobowałbym może wzięcia nogi za pas, ale zajęty oporządzaniem bydlęcia nie domyślałem się niczego, dopóki nie posłyszałem trzasku po za sobą. Nie powiem żebym się nie przestraszył, przestraszyłem się okropnie i myślałem że to darmo — trzeba się będzie przenieść ad patres. Ale gdy rzuciłem okiem na bawoła, którego rozebrałem już do połowy, przyszedł mi koncept żeby się pod nim ukryć, nakrywszy się skórą. Sprobowałem ale że nie udało mi się okryć jak myślałem, przyszła mi inna myśl do głowy. Oto postanowiłem wypróżnić moję bydlę, wyjąć zeń wszystkie wnętrzności, co uczyniwszy wpakowałem się sam na to miejsce. Dobrzem zrobił żem się nieociągał, bo nie było czasu do stracenia, i mogę powiedzieć otarłem się o śmierć bardzo blisko. Zaledwie się ukryłem płomień się zbliżył, swiszczał dokoła i prawie upiekł mi uszy. Niewierzycie to przypatrzcie się bliżej...

Bill i ja roześmialiśmy się wesoło bośmy wiedzieli że to był ulubiony żart starego, ale i Rube tak się potem dowcipie śmiał długo że nas zniecierpliwił, bośmy chcieli dowiedzieć się końca przygody.

— No tak wtrącił Garej, wracając do rzeczy, mów jakże się to skończyło.

— Oh! odrzekł strzelec, droga którą posuwa się ogień bezpieczną jest od węży. Świstało, trzeszczało, łodygi trzaskały jak odgłosy tysiąca batów, dym mnie dusił ale zdążyłem pociągnąć skórę bawoła i to mi ulżyło, a następnie zdołałem przywiązać też ją jak się należy. Następnie siedziałem jak trusia spokojnie w kryjówce aż do czasu dopóki was nie usłyszałem i przekonałem się że wszystko w porządku.

Rube zakończył opowiadanie swoim zwykłym wykrzyknikiem i na nowo zabrał się do bawołu na wpół już upieczonego.

Pomogliśmy mu w tej pracy, potem powróciliśmy do obozu zabrawszy najcelniejsze części mięsiwa. Dzięki rybom upieczonym na ruszcie, kotletom ozorowi i szpikowi z kości bawolich, nie mogliśmy tego wieczoru narzekać na niegościnność stepów.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Skała.

Po śniadaniu z mięsa bawolego któremu za przyprawę służył przepyszny nasz apetyt, popiliśmy filiżanką wody zaczerpniętej z rzeki, i wsiadłszy na konie, skierowaliśmy się ku wyniosłemu pagórkowi wyglądającemu z po za łąki.

Towarzysze moi znali doskonale to miejsce. Wzniesienie czy skała leżało na naszej drodze, a mil dziesięć jeszcze i ukończymy nakoniec tę uciążliwą podróż.

Rzeczywiście wyniosłość o której mowa widać było z wioski w kierunku północno zachodnim, ale tylko w dzień pogodny.

Uderzony raz szczególnością tego widoku miałem był dawno wielką ochotę przyjrzeć mu się zbliska i postanowiłem go zwiedzić, ale okoliczności aż dotąd stawały zawsze na przeszkodzie w wykonaniu tego projektu.

Ta wyniosłość wyglądała jak ogromny kufer, obsadzony wśród łąki. Z daleka ściany przedstawiały się jako doskonale prostopadłe, a szczyt płaski jak łąka, służąca mu za podstawę..

Była to jedna z tych formacyj które nazywają po hiszpańsku *la mesas*, z powodu właśnie owych wierzchołków płaskich jak stół, i wyróżniających je tym sposobem od zwyczajnych pagórków.

W miarę jakeśmy się zbliżali, rosła moja ciekawość. Widziałem góry tego rodzaju na Missouri, w kraju Navajos, na zachód gór Rocheuses i wzdłuż Lano-Estacado który sam jest olbrzymiem wzniesieniem.

Ale wzniesienie które mieliśmy przed sobą, było oryginalne, tak z powodu całego kształtu jak i gładkiej i błyszczącej powierzchni ścian. Nadto położenie pośród niezmierzonej równiny dodawało mu osobliwego uroku, bo oko nie spostrzegało nic więcej do około, w oddaleniu gdzieś tylko, rysowały się góry nad brzegiem rzeki Grande.

Kiedyśmy się znowu zbliżyli zobaczyliśmy pewne modyfikacyje. Forma niby czworograniasta jak pudełko zdawała nam się mniej równą, i odkryliśmy małe szczeliny w ścianach a gdzie niegdzie linije łamiące się pod kątem prostym, a jednakże pomimo wszystko co się traciło z bliska pagórka, była to zawsze osobliwość—tem więcej że wierzchołek zdawał się być niedostępnym dla człowieka.

Mieliśmy naprost siebie wzniesienie wysokie na mniej więcej pięćdziesiąt metrów, na które nikt jeszcze nie wchodził oprócz obu moich towarzyszy.

W tej chwili byliśmy zaledwie milę od stoku pagórka którego widok zajmował całą moję uwagę. Oczy moje błądziły po szczycie pokrytym bujną roślinnością, moi jednak towarzysze nie dzielili mego uwielbienia.

Zajęci byli rozmową, a ponieważ rozmowa ta nie odnosiła się do tego co by mnie obchodzić mogło, puszczałem ją mimo uszu.

Nagle zostałem wyrwanym z mojego zachwytu okrzykiem Gareja.

— A do dyjabła Indyjanie.

— Indyjanie — gdzie znowu?..

Te zapytania wyrwały nam się prawie jednocześnie i nie potrzebowały odpowiedzi...

Spojrzałem na Gareja śledząc jego spojrzenia, spostrzegłem sznur kawaleryi, która wyjeżdżała z po za wzniesienia i zmierzała w strony stepu.

Obaj moi towarzysze osadzili konie na miejscu, ja uczyniłem to samo i stanęliśmy wszyscy trzej, przypatrując się temu niespodziewanemu zjawisku.

Dwunastu jeźdźców z za pagórka zbliżało się ku nam.

Byli jeszcze o jaką od nas milę, a z tej odległości niepodobna rozróżnić białego od czerwono-skórego — zwłaszcza że ubiorem często bardzo się nie wiele różnią.

Chociaż Garej oświadczył z pierwszego wejrzenia że to indyjanie, nie była to jeszcze zupełnie pewna wiadomość.

Jeżeli to czerwono-skórzy, dorzucił Garej to *Komanszowie.*

— A jeżeli to oni odrzekł Rube z groźnym naciskiem, trzeba ich będzie przepłoszyć, jeżeli to w istocie oni to jesteśmy w stanie wojennym. No zacznijmy od opatrzenia broni!..

Usłuchaliśmy chętnie rady Ruba bo wiedzieliśmy dobrze, iż z Komanszami nie załatwimy się spokojnie.

To plemie wojownicze, zajmuję cały pas wschodni Texasu i ma swoje koczujące hordy od rzeki Grande na południu aż do l'Arkansas na północy, formując najsilniejszą ligę indyjan na stałym lądzie. Uważają się za panów i władców większej części stepu, chociaż tej władzy od strony północnej zaprzeczają im inne również bitne plemiona.

Od czasów najdawniejszych Komanszowie są najzaciętszemi wrogami kolonistów Teksańskich, a opisy szczegółowe ich napadów i rabunków, zapełniły już ze dwadzieścia grubych tomów. Nie zawsze jednak najazdy uchodziły im na sucho i nieraz oddziały wolnych strzelców krwawy zadawały im odwet.

Znalazłszy w Meksykanach ludzi mniej śmiało broniących zagród domowych, od pół wieku co rok regularnie Komanszowie najeżdżają na prowincyje północno-wschodnie, i powracają zazwyczaj obładowani licznemi stadami koni, mułów, bydła rogatego a nawet z licznemi zastępami pojmanych w niewolę kobiet.

Czas jakiś te dzikie hordy o miedzianej cerze zostawały w zgodzie z Anglo-Amerykanami kolonizującemi Texas, ale była to zgoda pozorna, — było to jakby powiedzieć czasowe zawieszenie broni i wkrótce znowu pionierowie wzięli się z indyjanami za ręce. Odtąd zawrzała wiekuista wojna. Biały z miedzianym zabijali się gdzie się spotkali jak psy. Kiedy dwu podróżnych zetknęło się z sobą wśród stepu, kolor skóry decydował jak się z sobą obejść mają. Gdy kolor był różny, byli nieprzyjaciołmi i morderstwo było najpierwszą ich myślą.

Ta straszna szatańska nienawiść powiększyła się jeszcze niezbyt dawno, a oto skutkiem następującego zdarzenia.

Oddział Komanszów ofiarował był swoje usługi naczelnemu wodzowi armii amerykańskiej. Pozwól nam walczyć przy swoim boku odezwali się oni do niego, my nie jesteśmy waszymi nieprzyjaciołmi—owszem jako żołnierzy szczerze was poważamy. Walczymy przeciwko meksykanom którzy nam ziemię naszę wydarli. Bijemy się za Montezuma!

Te słowa przebiegały całą północną granicę Meksyku, robiąc ogromne wrażenie, chociaż znaczenie ich było bardzo niewyraźne, bo blisko już trzysta lat temu jak Montezuma stracił cesarstwo i życie.

Generał amerykański przychylił się do żądania Komanszów i oddział swój na podstępną a straszną rzeź naraził.

Jeżeli więc zbliżający się jeźdzcy byli Indyjanami z pokolenia Komanszów przewidywania Ruba, miały racyją bytu, byliśmy w przed chwili bitwy.

Nie straciliśmy czasu i gotowaliśmy się do obrony.

Zeskoczywszy co tchu na ziemię schroniliśmy się po za konie w szyku bojowym, i czekaliśmy na zbliżenie się bandy.

ROZDZIAŁ XXIX.

Geryllasy.

Ten przygotawczy manewr zajął nam niewiele czasu, kawalerzyści byli jeszcze dosyć daleko, uszykowali się i postępowali naprzód dwójkami.

To nas zadziwiło trochę bo nie była to taktyka indyjska, nigdy bowiem Komanszowie nie maszerowali w ten sposób. Nie, ci jeźdzcy to nie czerwono-skórzy.

Jakiś odbłysk radosny przebiegł mi w tej chwili po głowie, czy to przypadkiem nie oddział współtowarzyszów moich, wysłanych za mną na zwiady.

Toć to my zawsze jeździliśmy dwójkami!

Ale nie — ci jeźdzcy mają długie lance i noszą powiewające pióra czego w armii amerykańskiej nie było.

Ha to chyba Komanczycy.

Ej zauważył Rube, przypatrzywszy im się dobrze, czy to są indyjanie, czy mają przyprawne brody—bo nie podobni jakoś na czerwonoskórych? Nie, dodał podnosząc głos, to banda czarno-skórych Meksykan. Miał racyją—kawalerzyści ci byli to Meksykanie.

Nie było powodu cieszyć się z tego odkrycia to też bynajmniej nie opuściliśmy naszych stanowisk obronnych. Banda Meksykan podobnie ustrojonych, mogła być tylko bandą naszych nieprzyjaciół i to nieprzyjaciół zażartych.

Od kilku tygodni trwała wojna z nieopisaną wściekłością, a place bojów były placami zemst okrutnych i strasznych gwałtów.

Bez żadnej wątpliwości ci co się ku nam zbliżali byli Geryllasami meksykańskiemi, wysłanemi na zwiady.

Terytoryjum neutralne po którem zazwyczaj kręcili się geryllasy, rozciągało się pomiędzy stanowiskami dwu armij nieprzyjacielskich, my jednak byliśmy bardzo od linij tych oddaleni po za wszystkiemi osadami, co więc mogło u licha sprowadzić na step bezludny oddział który spotykamy. Nie było tu ani zwierzyny, nie było wojska amerykańskiego, nie było podróżnych do rabunku. Mój oddział był oddziałem najdalej naprzód wysuniętym w tym kierunku, a przecież wioska którąśmy zajmowali leżała o jakie mil dziesięć od tego pustkowia— Kogo jedynie można tu było napotkać to Komanszów, Meksykanów znaliśmy za zbyt dobrze abyśmy posądzili ich oto, że oni Indyjan przyszli szukać aż tutaj.

Dotąd postępowali ciągle naprzód prosto, i jak obecnie znajdowali się pomiędzy skałą i nami.

Przybywszy na milę od miejsca w którem eśmy się znajdowali, skręcili w stronę zachodnią i widocznie chcieli nas zajść z tyłu.

Wskutku tego ruchu mieliśmy ich do nas bokiem i mogliśmy dobrze się przyjrzyć ich ubiorom i uzbrojeniu.

Prawie wszyscy mieli kapelusze z szerokiemi rondami, krótkie kurtki i pasy jaskrawe, mieli lance, arkany i karabiny, a niektórzy nawet pałasze. Nie byli to żołnierze z rzemiosła to było widać z ich ubiorów i niezręczności, lance trzymali w najrozmaitszy sposób, to wzniesione w górę to opuszczone na dół, to oparte na strzemiona, wedle formy wojskowej to byli więc geryllasowie, albo zwyczajni rabusie gościńcowi.

Po zrobieniu pół koła zachowując te same pozycyje sformowali się we front przed nami i zatrzymali się.

Niepokoiły nas te ruchy bo nie mogliśmy odgadnąć w jakim celu były dokonywane. Nie dla przecięcia przecie nam odwrotu, bo do lasu mieliśmy kilka mil drogi i niemogliśmy myśleć aby się do niego schronić, tym więcej że Ruba na jego starej klaczy łatwo by przyszło dogonić. Wiedzieliśmy o tem dobrze to też nie myśleliśmy o lesie, z drugiej strony ukazywała się skała którą po ostatecznem poruszeniu, nasi przeciwnicy odsłonili zupełnie, znajdowała się ona od nas o pół mili i spiąwszy konie ostrogą, zdążylibyśmy do niej na czas, ale nie było tam żadnego drzewka oprócz tych co rosły na szczycie, a ściany kamienne nie przedstawiały lepszych korzyści jak step na którym byliśmy. Nieprzyjaciel wiedział o tem dobrze inaczej, nie był by nam zostawił otwartej drogi w tym kierunku.

Aż do czasu w którym sformowali się i stanęli nie wiedzieliśmy zupełnie dla czego starali dostać się po za nas, wkrótce jednak zrozumieliśmy ten ich projekt. Zatrzymali się oto właśnie pomiędzy słońcem a nami.

d. c. n.

WYCHOWAJ JĄ!

Pannie Waleryi Ż....

Autor.

Jedynie chęć zadośćuczynienia wezwaniu Pani, zmusza mię do wypowiedzenia kilku słów w kwestyi, o której tak wiele dziś piszą i mówią. I zaprawdę, musisz Pani podziwiać tę moję cywilną odwagę, po tem wszystkiem, co ja sam o masie tego rodzaju artykułów „słówek,“ „słów“ i „jeszcze słówek“ nieraz wypowiadałem w Twej obecności. Aż strach mnie przejmuje na myśl, jak niejeden z czytelników (czytelniczki są względniejsze) rzuciwszy okiem na tę stronnicę, zawoła ziewając: „Otóż znowu „kilka słów“ albo „słówko w kwestyi kobiecej!“ Nawet żona moja w tej chwili zajrzawszy przez moję ramię, radzi mi, bym dał pokój tej nieszczęsnej sprawie. Lecz „la promesse oblige...“ już nie cofnę się. Gotów jestem narażając Cię na znudzenie, powiedzieć co myślę o dzisiejszym ruchu emancypacyi; rozjaśnić pewne szczegóły tej zawiłej kwestyi, ujawnione u nas w ostatnich czasach, i sprowadzić na właściwy grunt całą gadaninę o tej beczce Danaid.

I.

„Jeżeli wybierzemy na chybił — trafił — mówi jeden z dzisiejszych publicystów — dziesięciu mężczyzn i wspomnimy im o kwestyi kobiecej, to najmniej sześciu z nich uśmiechnie się trywialnym uśmiechem tryumfującego dotychczas faktu.“ Co do mnie wątpię, czy ów autor, na dziesięć kobiet, znalazłby pięć, któreby umiały pogodzić ten wyraz „emancypacyja“ z tradycyjną poczciwością polskiej matrony, z niewinnością anioła dziewicy, z obowiązkami „kapłanki domowego ogniska.“ Jeżeli prawdą jest że egoizm, zmysłowość i feljetonowy pogląd mężczyzn, przeszkadzają dotychczas rozwiązaniu kwestyi, która już dziś nią być niepowinna, to niemniej trafnem jest zdanie, że *głównym nieprzyjacielem emancypacyi kobiet są same kobiety.*

Fakt ten łatwo sprawdzić. Większość kobiet praktycznych — żon, matek i gospodyń, kobiet które studyjowały życie nietylko z książek, lecz walkę z niem opłacały częstokroć bezsennemi nocami, spędzonemi nad kolebką, zużyciem swych sił i zdrowia, całodzienną pracą fizyczną i ofiarą wszystkich osobistych przyjemności, dla zapewnienia możliwie najlepszego wychowania i wykształcenia swym dzieciom — większość kobiet tych uważa kwestyją kobiecą za dźwięczny frazes, pod parawanikiem którego zgodziłaby się wyzyskać dla siebie pewne prawa od społeczeństwa, lecz w zamian ich nic społeczeństwu więcej dać nad to co daje — nie może, i do walki z nim w imię tej idei, nigdy wystąpić się nie poważy.

Zjawisko to, istnienie którego, dla ludzi bliżej przypatrujących się żywiołom społecznym, nie ulega zaprzeczeniu, musi mieć pewną naturalną przyczynę, swoję racyją bytu. Jego źródło znajdziemy, poszukawszy *najprzód* w przeszłości, a więc w historycznych fazach, które idea emancypacyi przechodziła, mianowicie u nas; *powtóre*, w niejasnem stawianiu przez piszących i deklamujących o sprawie kobiecej, wniosków do których dochodzą, a tem samem w nieporozumieniu jakie zaszło między kobietami i propagatorami — i które na koniec pociągnęło za sobą jednostronny kierunek, w jakim ruch kobiecy, zaczął się u nas rozwijać.

Nie będę tu opisywał stopniowego, powolnego zdobywania sobie przez kobiety stanowiska, do którego prawem historycznego postępu doszły w naszej epoce. Istnieje książka p. *Ernesta Légouré* („Histoire morale des femmes“), która jest doskonałą historyją jednego pasma poniżeń, jakie od najdawniejszych czasów cierpiała kobieta. Historyja ta bolesna i pouczająca, z wielką erudycyją i wielkiem uczuciem napisana. Do niej więc odsyłając moje czytelniczki, zaznaczam tylko genezę idei emancypacyi, w naszej już epoce ujawnioną. Anormalne położenie kobiety, musiało wywołać z jej strony protest. Czy rzeczywiście położenie to jest anormalnem? Czy protest nie jest kaprysem i modą tylko? Zamiast szczegółowej, wszechstronnej i kategorycznej odpowiedzi, zamiast wykazywania bezprawia i poniżenia które ciążą na kobietach, ograniczę się na powtórzeniu pewnej dowcipnej uwagi, którą każdy optymista może sprawdzić w otaczającem go kółku.

„Na sto kobiet, przynajmniej siedemdziesiąt pięć pragnęłoby być mężczyznami — na stu

mężczyzn, ani jeden nie życzyłby sobie zostać kobietą.“

Ta instynktowa chęć — stania się mężczyzną, a więc dorównania mu, sprostania, skorzystania z praw i wolności które posiada—nie będąc ściśle wyrozumowaną i ujętą w teoryją—poprowadziła zrazu na błędne drogi ideę emancypacyi. Genijalna George-Sand stanęła na czele tego ruchu, który nietylko niepomógł, lecz zaszkodził rozwojowi kwestyi kobiecej, i który wydał monstrualny typ — *lwice*.

Minął czwarty dziesiątek lat naszego stulecia, a znim mniemanie, wywołane usiłowaniami różnych gwałtownych reform i romansami Pani Dudevant, że kobieta nie może się obejść bez papierosa, spicruty, własnego salonu, i niestety! własnego rozumu.

We wszystkich następnych usiłowaniach kobiet i próbach zdobycia niezależności, upatrywano lwie pazury tej epoki, tak samo jak Jonasz Baunderby z Koktaunu podejrzywał złotą łyżkę, we wszystkich słowach i ruchach nieszczęsnych Rąk. *) Milczenie i nędza były wymownym protestem koktauńskich robotników, przeciw temu oskarżeniu. Kobiety, protestując przeciw lwiej chorobie, zaprotestowały jednocześnie przeciw idei emancypacyi. Odrzucając niedorzeczną formę, potępiły samą treść. Pamiętamy te bardzo niedawne czasy, gdy każda uczciwa, kobieta odpowiedziałaby rumieńcem oburzenia, na zarzut, że jest „emancypantką.“ Nie chcąc zostać lwicami, a niemając innej formy dla idei — która jednak żyła w nich, wyrzekły się jednocześnie nadziei niezależności, prawa każdego stworzenia obdarzonego rozumem. Niechcąc mieć nic wspólnego z heterami — które gromkiem słowem emancypacyi, okrywały swą kurtizanteryją, i dogadzały pod jej parawanikiem namiętnościom—obrzuciły błotem samą zasadę równouprawnienia, i za kodeks przyjęły książkę „O powinnościach kobiet“ pani Hoffman.

W samej więc, jak widzimy, historyi tej idei, szukać należy nieprzychylności, a nawet wstrętu, jaki mają do niej kobiety starszej generacyi, i powątpiewania, objawiającego się często w szeregach młodszego pokolenia, wychowanego na wzorach Hoffmanowej.

Gdy w ostatnich czasach nastąpiła reakcyja przeciw temu poglądowi, wygłoszono, jako jedyny praktyczny środek do przeprowadzenia emancypacyi—*zasadę pracy kobiet*. **) Kobieta musi zapracować na swe równouprawnienie — powiadano, jeżeli chce być nam równą w obec prawa i w stosunkach towarzyskich. Motywowano to bardzo logicznie. Dla czego, pytano się, my lubimy pracę, pomimo że ludzka natura, nie zbyt do niej jest skłonną, czego dowodem — bogaci? Dla tego że praca daje nam pod pewnym względem niezależność. Prawda że niewielu jest szczęśliwych, których sama praca jest niezależną, którzy zajmują się jak chcą, pracują jak im się podoba. Lecz w każdym razie praca daje nam pewną niezależność względnie do reszty ludzi. Sami utrzymujemy się, żyjemy za nasze pieniądze, przytem rozumie się, uważamy się w prawie wymagania większej wolności, gdyż jesteśmy gospodarzami w rodzinie, gdyż jesteśmy jej karmicielami. Niech kobieta zapracuje na swe i dzieci swych utrzymanie, niech nie będzie nam ciężarem — choć słodkim, lecz pomimo to nie lekkim — niech pracą wywalczy sobie samodzielność, a my gotowi jesteśmy w ówczas uznać ją za równoprawną, i poczynić pewne zmiany w kodeksie cywilnym i towarzyskim.

Taki był—jeźli się nie mylę — ogólny przebieg „kwestyi kobiecej“ do dnia dzisiejszego. Zasadę postawiono jako ultimatum, od którego zależy emancypacyja. Niestety! ci co go wygłosili, zapomnieli o wielkim obszarze pracy *zachowawczej*, która zabiera prawie cały czas ich żonom i siostrom, że na zarobek nie starczyłoby im czasu i sił może. A przecież praca ta — ogromna cywilizacyjna dźwignia i taki żywioł ekonomiczny, bez którego żadne społeczeństwo istnieć by nie mogło. Ultimatum miało tylko jedną stronę — chodziło mu o poruszenie mass drzemiących dotąd w odrętwieniu, — zapomniało — że po za tą massą, znajduje się większość — której *całem życiem — praca*. W tym duchu napisaną została następnie wielka moc artykułów, broszur, a nawet książek, dla objaśnienia, jak, gdzie, w jaki sposób, w jakich zawodach mogą pracować kobiety. Otwarto zakłady przemysłowe, rękodzielnicze i warsztaty dla debiutantek. Zapomniano tylko o szkołach.

Jakież stanowisko w obec tego ruchu miały przyjąć kobiety, o jakich wspomniałem dopiero? Kobiety, które pracowały umysłowo nad tak zwaną swą edukacyją; następnie nad mnóstwem robót i robótek, mniej lub więcej bezużytecznych i mogących być taniej nabytemi, niż stratą czasu na nie użytego, i w końcu wyszedłszy za mąż, niemiały godziny prawie wolnej, od pracy koło domu, kuchni i dzieci?

Naturalną logiką, zdrowym rozsądkiem powodowane, okrzyczały ideę emancypacyi, mającą za zasadę *pracę* za frazes, gdyż bez tej idei, bez tej zasady, *praca była zadaniem ich życia*, a równouprawnienia i samodzielności nie zdobyły. Te znów zapomniały, że tu chodzi o pracę *produkcyjną*, zarobkową a nie o zachowawczą; że pierwsza tylko prowadzi do samodzielności i warunkuje byt niezależny — wyzwala.

I tak, pomiędzy kobietami praktycznemi a propagatorkami emancypacyi, nastąpiło nieporozumienie, w skutek niedokładnego wyjaśnienia zasady pracy, lub w skutek fałszywego zasady tej postawienia. Bądź jak bądź, zważmy, że w każdem społeczeństwie, ten rodzaj *kobiet praktycznych* stanowi *większość*, że *idea niemająca za sobą większości, niepodobną jest do zrealizowania*, i że piszący w jej imię, nie przedstawili dotąd niezbitych argumentów, któreby zdołały tę większość na ich stronę przeciągnąć.

Pomimo to, niezaprzeczenie, kwestyja emancypacyi nie jest fantazyjnym wybrykiem głów romansowych, chimerą w transcedentalnej krainie marzeń. Jest ona zbyt dotykalnym faktem, wołającym donośnym głosem cyfr statystycznych o jak najprędsze załatwienie. Gdy usiłowaniami swych apostołów i apostołek, znów podniosła głowę ta hydra o głów milijonach, nie można jej już zapoznawać. Występując w imię pracy, nie pozwala się lekceważyć. Nie walczą też z nią dzisiaj otwarcie, zasłaniając się tarczą, ulepioną z domorosłej filozofii, lecz starają się skierować ją na właściwą drogę. Hydra bowiem, zwyciężona dziewięć razy, mogła dziesiąty raz powstać, w straszniejszej postaci, i śmiertelnie zranić najświętsze nasze uczucia rodzinne i socyjalne pojęcia. Dziś, skierowana na właściwą drogę, może wyzwać do działania milijony świeżych, niezużytych, produkcyjnych sił, leżące dotąd odłogiem. P. *Le Hardy de Beaulieu* mówi: „Społeczeństwo z nieugiętą energiją występowałoby przeciw wszystkim przeszkodom, naturalnym lub sztucznym, gdyby chodziło o uprawę kilku tysięcy mil □ żyznego gruntu, lub przeciw niedorzecznemu prawu, któreby wzbraniało właściwych środków do powiększenia produkcyi roli, bez powiększenia wydatków na uprawę. To energiczne wystąpienie pochodziłoby z troskliwości o dobro materyjalne. Przeciwnie, jakże obojętnie toż samo społeczeństwo traktuje szkodę materyjalną i moralną, wynikającą z braku umysłowego wykształcenia ogromnej massy rodzaju ludzkiego, a *szczególniej kobiet!*“ *).

d. c. n.

*) Charles Dickens „Ciężkie czasy na te czasy.“

**) Jeden z najpierwszych artykułów który się u nas w tej kwestyi pojawił, były „Listy w kwestyi kobiecej“ do Lucyny przez anonima, autorkę pisane w Gazecie Polskiej z roku 1865 jeśli się nie mylę. Listy te miały na celu dowieść, że cała kwestyja kobieca jest kwestyją pracy kobiet.

*) Economiste belgique 1865 „Credit du peuple, par *Estirant*.

GAWĘDY
o środkach domowych lekarskich i gospodarskich.

II

Lękasz się, czy mnie nie obraziło twoje wyznanie—że was, koniec mego listu do serdecznego pobudził śmiechu?

— Ależ ja tylko żałuję że nie jestem między wami bo ja pierwsza zachęcałabym do wesołości, mając przed oczami list i w nim przepis na marynowanie śledzi. Otóż — pragnąc podtrzymać wasz dobry humor, oświadczam zgóry, że znowu część tego listu śledziom poświęcić zamierzam. 1. *Śledzie w oliwie.* Te same świeże tłuste szwedzkie po 6 groszy kupowane śledzie, mocz w wodzie przez dwa dni; następnie ociągnij ze skóry, przekrój każdego na połowę, tak aby ości wszystkie odstały poczem pokraj w kwadratowe plasterki i ułóż w słoiku, a przekładając plasterkami cebuli, przesypuj pieprzem tłuczonym. Po pierwszej warstwie śledzi z cebulą—drugą przekładaj plasterkami cytryny, tak postępuj aż do końca— a wreszcie — wlej oliwy tyle, żeby się śledzie pokryły. Jestto dość kosztowne, bo oliwa powinna być dobra i dość jej wychodzi, ale masz wyborną marynatę do eleganckiego śniadania, czy to podając na bułeczce, czyli też na talerzykach. 2. *Śledzie wędzone.* Drugie wyborne danie—

stanowią też same śledzie, tylko krócej, bo przez 24 godzin moczone, następnie osiąknięte z wody, które przesyp na pół przetłuczonym kolendrem i wędź w beczce najwyżej przez godzinę. W tym celu biorą się trociny i drobne wiórki byle nie smolne rozpalają się na kotlinie, na takim ognisku ustawia się obszerna solówka bez dna naturalnie, a u góry zawieszają się śledzie za ogonki sznureczkiem poprzywiązywane. Podają się ze skórką a jedzą jak sielawy same lub z oliwą. Są wyborne, smakiem sielawy przypominają a taniością i dobrocią zastępują. 3. *Śledzie smażone.* Dobrze wymoczone śledzie—ociągnij ze skórki, unurzaj w mące, ułóż na brytwance, polej tłustą śmietaną i wstaw w piec. Gdy się zrumienią—zsuń ostrożnie na półmisek, żeby się nie połamały, obłóż przysmażonemi kartoflami i podaj. Niektórzy skórek nie ociągają, tylko dobrze obmywszy—postępują, jak wyżej.

4. *Sałatka ze śledzi.* Przez 10 lub 12 godzin moczone śledzie, ociągnij ze skórki, obierz z ości i drobno pokraj. Mlecz zaś z cebulą jak najmielej posiekaj. Włóż tę masę na salaterkę, wsyp w nią tłuczonego pieprzu, wlej dużo oliwy, trochę dobrego octu i dobrze wymieszaj. Sosu tego, powinno być prawie ¼ salaterki—dodaj jeszcze usiekane jabłko, kilka w plasterki krajanych korniszonów, trochę w paseczki krajanych rydzów, jeźli je masz bo i bez tych dodatków można się obejść. Nakoniec—pokraj w paseczki, lub kosteczkę dobrze wystudzone kartofle, wsyp je w salaterkę, przemieszaj z sosem śledziowym i podaj na zimno, czy to do pieczystego, czyli też w post za przekąskę do piwa, wódki lub herbaty, obok sera, kawioru i t. p. bardzo chętnie jedzą taką sałatkę. Pominąwszy już fasz ze śledzia do pieczonego kapłona — lub sos śledziowy do sztuki mięsa o czem wszyscy wiedzą, przyrządzają jeszcze kotlety, które dobrze smakują i porządną gospodyni przysparzają w poście potrawę, kiedy ryby świeże zanadto mogą kosztować. Otóż po 5. *Kotlety ze śledzi.* Mocz śledzie ze 36 godzin, zmieniając wodę parę razy, poczem osącz z wody, opraw, obierz z ości i usiekaj mielutko. Dodaj sporo tartej bułki, parę tartych cebul nieco pieprzu, parę jaj twardych mocno usiekanych, spory kawałek roztopionego masła— i w końcu wlej parę całych jaj. Wymieszaj to dobrze—porób kotlety jak z mięsa, obsypując bułeczką ale posmaruj wpierw każdy lekko jajkiem z wodą, smaż na maśle i podawaj albo z kapustą kwaszoną z grzybami ugotowaną, albo z kapustą surową z oliwą i cukrem przyprawioną—albo też do usmarzonych kotletów dorób sos kwaskowy z korniszonami lub tylko z octem, cukrem zarumieniony z plasterkami cytryny przyprawiony — a tym sosem polane kotlety podaj do smacznych, tartych kartofli. Jestto dobre i porządne danie.

Do 6-ciu śledzi weź 2 tarte małe lub jednę większą bułkę—2 tarte cebule—3 twarde jaja, małą łyżkę masła, ale je przetop, jaj wbij tyle żeby po wymieszaniu można było robić kotlety, 2 duże lub 3, zdaje się wystarczą, resztą smaruj zwierzchu. Z tego powinno być 8—10-ciu kotletów.

Lecz na dziś dosyć tych przypraw, teraz przejdźmy do twoich wycieczek do chat włościańskich. A więc—poznałaś już wszystkie sielskie zagrody „Ustronia“ pogawędziłaś ze staruszkami—wysłuchałaś ich skarg na ciężkie czasy, uwag nad gospodarskiemi kłopotami, nadziei na przyszłość a obawy nad teraźniejszością—słowem — zrobiłaś dobrą znajomość z całą wioską; bo i gospodynie chętnie ci się zwierzają i dziatwa otacza, wyciągając rączęta po piernik lub gruszkę, i dziewczęta przychodzą kolejno podlewać dworskie kwiaty a w niedzielę raniutko wiążą z panienkami bukiety i niosą do kościoła by ołtarz na sumę przystroić. A i szkółka wiejska prosperuje— i talenta samorodne wychylują się z ukrycia, bo znalazłaś pastuszka, który „różności“ kozikiem wyrzyna, i wszystko idzie ci po myśli. Tylko cię zaniepokoiła biedna kobiecina, która przebiła sobie nogę gwoździem, czyli też szkłem grubem, dość, że nieszczęsna ta noga w opłakanym jest stanie. Zrazu zaniedbana dalej gwałtownie i zbyt pospiesznie leczona, ze stanu opuchliny czerwonej i świecącej na różą wyglądającej, wyprowadzona; ale za to okryta stwardniałościami, które kataplazmowane— zamieniają się w otwarte a bolesne i płynące wrzody—którym nie ma końca; bo coraz wyżej i dalej nogę zajmując, zmuszają biedną kobietę do ciągłego leżenia — już nie-stety od 10-ciu tygodni. Wiesz, jak się lud prosty obawia szpitala, a może i słusznie po części a więc o tem nie ma co i mówić; ale taki stan—to okropność! cała rodzina do ruin dojść może, przy takiej bezwładności gospodyni. Państwo K. posyłali jej doktora, który kataplazmy zalecił; ależ i z tem trudna sprawa trzebaby chyba samej się tem zająć, a doprawdy rzecz nie łatwa bo folwark od dworu odległy—a matka staruszka, która jest opatrznością tej rodziny —już traci głowę ze zmęczenia. Otóż droga moja, w szczęśliwą trafiasz godzinę. Właśnie wysłuchałam cudownych skutków maści, której przepis ci tu załączam.

Maść na wszelkie rany i wrzody.

Weź wosku—jeźli żółty, za 12 gr. a gdy biały, to za 15 gr. bo droższy biały, za 3 grosze *żywicy* — za 5 gr. *szmalcu* niesolonego, włóż to w czysty mały rądelek — i smaż na wolnym ogniu mieszając. Skoro się zagotuje— wlej duży kieliszek oliwy i niech się to razem smaży, następnie wylej to do słoika lub na miseczkę porcelanową lub kamienną, bo szkło pęknie od gorącej oliwy—zastudź, zapakuj i używaj, smarując na płótnie, skórze lub szarpiach, albo wreszcie na świeżej maszynowej wacie; ta maść i ciągnie i goi—trzeba tylko starannie 2 razy na dzień rany gąbką zmoczoną w wodzie ciepłej obmywać, lekko obsuszać a następnie świeżą maść rano i w wieczór przykładać. Czyste utrzymanie głównym jest warunkiem. Dobrze nawet wodą z mydłem ranę obmywać a palec czy dłoń obierającą się parę razy na dzień moczyć, dolewając wody cieplejszej, by równą temperaturę utrzymać. Zobaczysz że tem nogę ową wyleczysz. Kobiecinę zaś pocieszaj, dodawaj otuchy, dostarczaj o ile możesz pokarmów delikatniejszych a pożywnych, bo ręczę że i apetyt straciła, wreszcie leżącej pokarmy tłuste lub odymające na do-breby nie wyszły. Barszczyk, jajka miękkie, mleko z bułką, jarzynki owoce, trochę rosołu, czasem mięsa a zwłaszcza rzeczy kwaskowe, to ją ożywiać i wzmacniać będzie potrosze. Co do palców obierających się: te każą kataplazmować siemieniem. Przykładają skrom zajęczy, ale pod tem boli bardzo. Ta maść zaś zbiera powoli i ból łagodzi; lecz jeźli chcesz prędkiej ulgi, to upiecz całą cebulę i sam środek jej mięki i ciepły przyłóż na palec. Rwie to porządnie, ale we trzy godziny lub 4-ry zbierze się i pęknie stwardniałość. Gdy to nastąpi—wymocz palec w mydle, moczyć trzeba póki tylko materyja odchodzi. To wszystko możesz zastąpić tą maścią i moczeniem.

Jest boleśniejsze obieranie palców, zwane *zanogcicą;*—wtedy obiera się od kości czyli zbiera się materyja pod częścią do kości przyległą, co sprawia straszne cierpienia, gorączkę— a nawet zaniedbane, gangreną i śmiercią grozi. Cierpienie to napastuje najczęściej wtedy, jeźli z mokremi rękami na mrozie kto długo będzie, naprzykład, bieliznę wieszając. Otóż w takim wypadku mleko siadłe, cudownie działa. Nie mając siadłego tylko kwaskowate, bo to było w zimie, zanim się w cieple zsiadło, maczałam gałganki i przykładałam na dotkniętą zanogcicą rękę mleko po chwili w twarók się zamieniło, a w kilka godzin po takich okładach, chora zasnęła— a wrzód tak dojrzał że przeciąć mógł doktór. Materyi wyszedł dobry kieliszek, a po oczyszczeniu rany, tylko nieco szarpi z oliwą wygoiło ranę w krótce. Jestto środek, który sama wyprobowałam. Kiedy jest mowa o wrzodach, wrzodziankach, zanogcicach i obierających się palcach, to nie zawadzi przypomnieć sobie, jak to często małe dzieciny są na to narażone. To się ukłuje, to drzazgę gdzieś zachwyci— i bieda gotowa. Otóż nim jeszcze maść podaną tu poznałam, wyleczyłam dwa razy paluszek małej dzieciny, której zaszłe drzewo bolesne sprawiało cierpienie. A trzeba ci wiedzieć, że rzadko które małe dziecię, da sobie paluszek owinąć. Raz uśpionej dopiero udało mi się przyłożyć na paluszek plasterek słoniny, wymoczywszy ją wpierw w letniej wodzie, bom się lękała, że mocno solona słonina ból sprawi, ale właściwie taka lepiej ciągnie. Dość, że dziecina która albo wcale, albo też bardzo niespokojnie wpierw spała, uspokoiła się zupełnie po przyłożeniu owej słoniny, i gdy rano wesoło otworzyła oczki, zrzuciła z paluszka owijające go płótno, to słonina pokazała się przezroczysta, tak ją gorąco palca spiekło—a na jej środku, jako korpus delicti — leżało drewienko wyciągnięte z paluszka, na którym już i śladu owej biedy trudno było dopatrzeć. Drugi raz taż sama dziecina starsza już nieco, zanosiła się od płaczu, pokazują spuchniętą z boku rączkę, w której tkwiła drzazeczka, przykre zadając bóle. Owinąć czemkolwiek nie dawał chłopczyna, a matka traciła głowę, co z tem począć; gdy przypadkiem wszedł doktór, który kazał przynieść ciepłej wody wlać na maleńką głęboką salatereczkę i skłonił dziecię, żeby w nią włożyło rączkę, i pocieszał że gdy w wodzie potrzyma, to już boleć nie będzie. A matce zalecił trzymać rączkę w ciepłej wodzie choćby parę godzin, dziecinę rozrywać pokazując mu obrazki — wodę ciągle jednakową a raczej cieplejszą co chwila dolewać. I oto w tej kąpieli krosta zebrała i pękła z łatwo-

ścią, oswabadzając i matkę i dziecię od przykrego cierpienia.

Gdy się krosta na oku czyli jęczmień, tak zwany pokaże, kataplazmuj bułeczką mlekiem gorącem z trochą szafranu parzoną. Ale o oczach później obszerniej pomówimy. Teraz podam ci jeszcze przepis balsamu przez p. Nakwaską, w jej nieocenionym „Dworze wiejskim zaleconego“.

Balsam Ś-ej Genowefy.

Weź oliwy francuzkiej półtora funta, wody różanej ćwierć funta, wina czerwonego tęgiego, półtora funta, drzewa sandałowego czerwonego jedną uncyję. Włóż to wszystko w rądel pobielany, trzykwartowy i gotój przez kwandrans, to jest od chwili zagotowania, ciągle mięszając łyżką drewnianą i poczem dodaj terpentyny weneckiej pół funta. Mieszaj jeszcze to wszystko parę minut, następnie zdejm z ognia; a gdy balsam ten przestygnie, dosyp do niego jedną uncyję kamfory w proszku— znowu wymieszaj, przecedź przez płótno w inne naczynie i niech stoi przez dobę. Gdy się zetnie t. j. stężeje, poprzecinaj na krzyż tę masę, aby wypuściła płyn, który na spodzie osiądzie, wyłóż w słoiki, zatkaj dobrze i zachowaj do użycia. Ten balsam, oddawna sławny, doskonałym jest na wygojenie ran zastarzałych; nawet takich, w których gangrena się pokazuje. Bierze się go na płateczek i na miejsce bolesne przykłada; jeźli rana głęboka, to dwa razy na dzień się odmienia i na szarpie się wtedy smaruje. Ten balsam—zażywać dają też chorym po dwie drachmy w rosole lub w wodzie, na bóle wewnętrzne, na utrząśnienie i t. p. Smarować także krzyże i inne części ciała cierpiące, można z dobrym skutkiem.—Jeszcze jeden balsam wypisuję ci z „Gospodarza“ toruńskiego a robi się on z listków białej tak mile pachnącej lilii, której oskubane listki białe nalane oliwą, wybornym mają być lekarstwem na wszelkie rany i oparzelizny. Rana posmarowana tą oliwą doznaje ulgi i goi się prędko. Zbierajcie więc lilije białe skrzętnie miłe gosposie, mówi „gospodarz toruński“,—składajcie je w słojki, nalewajcie świeżą oliwą— a w kilka tygodni używać już można. Postawiona w miejscu suchem, długo bardzo się przechowuje“.

J. O.

MIEJSKIE I PRZEDMIEJSKIE
OBRAZY LWOWA.

(Szkice z bruku, pięter, parterów i suteryn, zarywające niekiedy i o posadzkę woskowaną)

Rysował

Teofil Szumski.

(Ciąg dalszy)

Idylla na przedmieściu, to przecież coś warto.

A jednak mało jest ludzi nawet w samym Lwowie urodzonych, którychby zastanowił widok sielanki na poły, tuż pod bokiem miasta. Tej Arkadyi cząsteczka—gdyby nie wódka — widna na przedmieściu zwanem *Żelazna woda* i *Zofijówka*. Wąwozy, góry, stawy maleńkie, lasy w miniaturze, wszystko to mogłoby uchodzić za Szwajcaryją. Wąwóz tylko i nie wielki park zdziczały przedziela Żelazną wodę od Zofijówki. Okolica miła, powietrze byłoby rajskie, gdyby—nie stare i nowe cegielnie i jedna duża fabryka cegieł. To przywiodło w tę okolicę proletaryjat nie sielski już, zepsuło trochę miejscowych mieszkańców, kilku nawet wyzuło z mienia.

Mimo to na urwiskach, polankach i w lesie, rozlega się tu jeszcze głos pastucha miejscowego. Ciekawy słów piosnki, słuchałem nieraz uważnie; młody chłopak, bosy o jasnych włosach śpiewał przez całą godzinę powtarzając niezmordowanie na rozmaite tony:

Lato minie, zima będzie
Zima minie, lato będzie.

I więcej nic, i więcej ani słowa. Czy niepojętny, czy tak zadumany, że nie znając śpiewu, powtarzał jedno mimo wiedzy? Nie, gdyż innym razem śpiewał znowu, ale także dwuwiersz tylko:

Dudni woda, dudni,
W cembrowanej studni.

Spytany, jak dalej? odrzekł: Nie wiem, ale trzeba popytać siostry, bom się od niej nauczył.

Otóż zadanie, pytaj siostry, gdzie każda z mieszkanek tej okolicy mogła mu być siostrą, bo każda śpiewa jak on i jak on zadrwić lubi. Tęż samę ochotę do zażartowania z ludzi nie noszących kapoty, zdradzają także ojcowie tego młodego pokolenia.

Wesołość wrodzona gra tu ważną rolę, a jeszcze ważniejszą odgrywała przed kilku laty. Obecnie częściej wywołuje ją traktament w karczmie, a to od czasu, jak na przedmieściu tem rozwija się eksploatacyja ziemi na wyrób cegieł i eksploatacyja góry na kamień do budowy.

Jedynym pokarmem duchowym tutejszych mieszkańców, są nowiny poczerpnięte w mieście. Rano wychodzi z dworku pomiędzy sadami pani Michałowa z krupkami w domu zrobionemi, sprzedaje na rynku lwowskiem, a o południu wraca. W każdym niemal dworku kwitnie przemysł domowy; wyrabiają tu krochmal, krupki, trudnią się nabiałem gospodynie i warzywem, a córki ich pielęgnują kwiaty na kilku grządkach. Ten ostatni przedmiot należy już do rzeczy zbytkowych, służy tylko młodszemu pokoleniu za rozrywkę i jest poniekąd dowodem poczucia piękna.

Podczas gdy pani Michałowa w mieście, mąż jej w polu—lub jeśli mularz, na fabryce— pozostałe w domu dziewczęta przygotowują obiad. Pracują i śpiewają; śpiewają i wdzięczą się do młodych kawalerów tubylców. Ci najczęściej nie grzeszą wielkim rozumem i są przedmiotem uszczepliwych przycinków płci nadobnej. Właściwością także dziewcząt tego przemieścia, że lubią przyśpiewywać i pieśni rusińskie, znane zresztą po wsiach okolicznych. Jedna z tych piosnek brzmi:

Bodaj sia taj kohut znudyw
Szczo mene rano zbudyw,
Małaja niczka, mała,
Jeszczem sia ne wyspała.
(Bodaj się ten kogut skręcił (oszalał)
Co mnie tak rano zbudził—
Bo mała nocka, mała,
Jeszczem się nie wyspała).

W ustach dziewczyn przedmiejskich brzmią powyższe wyrazy nieco odmiennie, niż w ustach ludu—brzmią one tak jak tu podane. Zamiast: Szczem ja sia: jak mówi lud—zmieniło się z polska na: Jeszczem itd. Zamiast *zbudyn*, brzmi wyraźnie na końcu wyrazu: *w*.

Wiosna i lato niesie mieszkańcom tego przedmieścia obfite zyski, tu się bowiem przenosi wielu z miasta na świeże powietrze. Nie jest ono tak kosztowne jak u wód krajowych, nie mówiąc o zagranicznych — ale przecie za pokoik wcale skromny w dworku otoczonym sadem, zapłacić trzeba 15 albo i 20 guldenów miesięcznie. Za to wolno ci brać udział w uroczystościach rodzinnych gospodarza domu, jego sąsiadów, uśmiać się na weselu a niekiedy i zgorszyć. Podchmieleni na weselu nie utrzymają języka w karbach, śpiewy niekoniecznie treści moralnej rozlegają się głośno. Czem mniej wtedy chciałaby słyszeć panna młoda i jej rówiennice, tem zawzięciej śpiewa młodzież.

Czy można brać za złe brak poczucia delikatności? trudno. Bo któż zajmie się tym ludem, tym człowiekiem, który ma potrzeby i ma je skąd zaspokoić, a żyje w przesądach na poły ciemnym. Ze szkoły wynoszą dzieci tutejsze tylko umiejętność czytania, ale później prócz książki do nabożeństwa nie widzą albo nie chcą widzieć pism innych. Gdyby im je kto podał, zachęcił, nie pożałowałby trudu, ale nie ma tego *kogoś*. Radni miasta Lwowa nie interesują się przedmieściami, a najmniej przedmieściem Żelazną wodą i Zofijówką. Drogi tu zaniedbane i są niemal prywatną własnością zamożniejszych mieszkańców, a oświata jeśli się krzewi, to chyba z dobrej chęci i woli przedmieszczan, których nikt nie zachęca, nie poucza, nie wciąga do obowiązków obywatelskich.

Tutaj maksyma zgubna, znana i w wyższych warstwach, że „młodzież wyszumieć się musi“ znajduje zastosowanie w całej pełni. Szumi też młodzież nietylko męska, ale i niewieścia. Starsi przymrużają na to oczy, dodając chyba, że jak się złe urodzi, to mu nic nie pomoże, złem zginąć musi, albo się z czasem upamięta. Zresztą, mówią, każda piękna dziewczyna, to zawsze nic dobrego, dyjabeł w niej siedzi.

Taką ładną dziewczyną pokarał Bóg pana Iżyka. Tak skarżył się zawsze, choć niechętnie opowiadał historyją swego pięknego dziecka. Iżyk, przedmieszczanin zamożny, pieniędzy uzbieranych za jabłka i wiśnie ze swego sadu nie składał nigdy w żadnym banku, ale je zaszywał w kapocie. Tak robił jego ojciec, tak i on. Ojcu pogryzły myszy nieraz ze sto papierków—(papierkiem zowie lud i przedmieszczanie guldeny austryjackie) i to samo przytrafiło się panu Iżykowi. Ubolewał nad tym, przyznawał, że lepiejby było składać pieniądze w kasie oszczędności, gdyż przyniosłyby i procent ale mimo to, zawsze wracał do swego nałogu. Ilekroć spotkał pan Iżyk kuma i sąsiada, pana Rewackiego, zawsze ten drugi poczynał od pytania:

— A cóż kumie, myszy?

— Dalibyście pokój temu bzdurstwu — odrzekł Iżyk—inne mnie myszy po głowie chodzą. Ot, nieszczęście, taj hodi! (Tyle co koniec).

— Wiem, wiem, Karolka wasza ładna!..

— Otóż to, że Pan Bóg nie pokarał czem innem, to pokarał tą ładnością.

— A mnie moim głupim Jaśkiem, co się w niej tak zadurzył, że coby miał robić, wałęsa się jak zwaryjowany. Dajcie ją raz za niego.

— Dajcie, dajcie, kiedy go niechce.

— Chciejcie wy tylko.

— Jaż chcę, ale ona, niby to nie wiecie strzela oczyma za jakimś paniczem z miasta. Póki zima, póty spokoju, ale skoro słonko poświeci, ciągnie tu tego licha tyle, że ani się opędzić. A jak wezmą prawić dziewczynie, to aż uszy puchną. Nieszczęście z tą pięknością. Piękna, ładna, cudowna, taj hodi. I kto tam to wszystko zrozumie, a ona licho wie skąd rozumie i odpowiada nawet.

— Ba, skąd, ze szkoły. Trzeba to wam było posyłać ją tyle lat? Niechby rok, niechaj dwa, ale cztery! Teraz macie, a przez was mój chłopiec zgłupiał do reszty.

— Co, co! —zawołał zdumiony Iżyk— alboż to w szkole uczą, jak biegać za dziewczętami, albo każda ziewczynom strzelać oczami za chłopcem? Toż i my kiedyś byli w szkole.

— E, kiedyś, to co innego. Wyście kumie chodzili na bosaki i ja i nasze żony. A dziś co? Dziewczynie trzeba pończochy, trzewika, sukienki. Spodobało się to, podoba się i panicz lepiej, niż jaki czeladnik mularski.

— Moja zrzuciła już dawno suknie miejskie, odrzecze Iżyk.

— Ot dziw! zrzuciła, bo jej ładnie w gorsecie czerwonym a w spódniczce sinej. I jeszczeście jej kupili duże lustro. Fiu, fiu, wykierujecie się. Niby to ja nie widział jak się mizdrzy do szkła, no i nie dziwota, bo widzi tam siebie.

Spotykali się ci dwaj sąsiedzi częściej i rozstawali zawsze o swojej gawędząc biedzie. Czuli ją ale nie widzieli przyczyny, nie mieli pojęcia o wychowaniu, o tem, że wychować trzeba przykładem, a nie tylko jak dotąd, chłopca bizunem a dziewczynę łajaniem.

Nie tu koniec historyi Karoliny Iżyczanki. Zdarzeń podobnych obić się mogło tysiące o uszy, ale w samym przebiegu i zakończeniu innych zupełnie. Tragikomedyje takie kończą się najczęściej aktem, wyrokiem sądowym. Tu nie jest tak źle i lepsze te strony znarowionych ludzi dowodzą, że z żywiołu tego mogłoby wyrobić się społeczeństwo jędrne.

Ale wracamy do historyi. Karolina Iżyczanka była w istocie pięknością zdumiewającą. Smukła—rosła. Włos czarny spleciony we dwa warkocze puszczone swobodnie na plecy, zdobił czoło kształtne, zda się pełne zadumy, oczy niebieskie, żywe, ciekawie w świat patrzące, płeć biała, brew jakby z obrazka pędzlem umalowana we dwa wązkie łuki, oto jej portret i nie zmyślony.

Pewnego wieczora, latem stała w progu dworku, widać od pracy jakiejś odbiegłszy na chwilę, gdyż rękawy od koszuli zawinięte były powyżej łokci i odsłaniały kształty jakby wykutej z marmuru ręki. Bolesny uśmiech wykrzywił tego wieczora bledsze nieco jej usta. Niedługo postawszy, wróciła do dworku, znowu wyszła, jakby oczekując na kogo. Czekała daremnie, i po chwili weszła do sadu. W ogrodzie o miedze ukazał się młody człowiek. w szaraczkowej, krótkiej kapocie, chłop duży i przystojny nawet, zbliżył się do niskiego ogrodzenia sadu Iżyka. Młodzieniec ten był to Jaś Rewacki, mularz, już nawet podmajstrzy. Stanąwszy na miedzy, zagadnął: Taki zawsze Karolciu mnie nie chcesz? Na te słowa i głos, Karolina oglądnęła się, poruszyła wzgardliwie ustami i rzekła: Toż to właśnie nieszczęście! Jan nie zrozumiał tej odpowiedzi i wytłomaczył ją korzystnie dla siebie i wyrecytował jak zwykle kilka wierszy wpół nucąc, które powiadał zapamiętał z teatru:

Czy mnie kochasz czy nie kochasz,
To zależy od twej woli—
Tylko krzywo na mnie nie patrz,
Bo mnie bardzo serce boli.

Głupiec! i ten śpiew głupi! wydarło się z piersi Karoliny, poczem nie obejrzawszy się wpadła do dworku drzwi zatrzasnąwszy za sobą.— On! mruknął na to Jan Rewacki i pokręciwszy głową zawrócił ku drzwiom chaty ojcowskiej.

A Karolina? Uciekła do alkierza, żeby ukryć łzy, bolało ją w samej rzeczy serce i bolała głowa. Umysł jej błąkał się po ulicach miasta szukając owego panicza, który miał przyjść dzisiaj. Widziała się już w mieście, w mieszkaniu skromnem, ale urządzonem wygodniej, widziała się w domu męża, którym miał być ów panicz. Ów nieznajomy jednak nie przyszedł. Przedtem nakłaniał ją, żeby się uczyła ona chwytała chętnie każdą okruszynę myśli. Kiedy słyszała, że on sam ubogi, pragnęła nauczyć się czegoś, czemby zapracować mogła, byle robotą szlachetniejszą. Nic w tem pragnieniu dziwnego: komu się ukaże słońce, ten już nie wytrwa przy świetle kagańca. Ale po co budzić pragnienia takie, jeśli się nie ma siły do zaspokojenia ich? Po to, ażeby uczynić zadość egoistycznym popędom. Tak myślał panicz i nieprzyszedł. Karolina zaś myślała, że, nie przyjdzie dziś, to jutro, a zawsze kiedyś.

Tymczasem minęło pół roku. O tej porze odebrała Karolina różne rady od starszych kobiet z klasy tej, która zamieszkała na komornem we dworkach przedmiejskich. Kobiety radzące należały do proleteryjatu miejskiego. Rady ich streszczały się w tych słowach: Lepiej zbyć biedy i nie robić wstydu matce.

Z pogardą wysłuchała Karolina tych nieproszonych przyjaciółek i wyznała ojcu winę. Matki obawiała się więcej, bo matka łajała, klęła nawet, a ojciec powiedział: Smutna twoja dola, ale dziecko twoje i mojem będzie. Karolina tego pragnęła, kochała córeczkę swoję. Ojciec Iżyk kochał instynktowo rozumnie swoję jedynaczkę, pani Iżykowa kochała córkę po głupiemu: przedtem była ślepa na wszystko, potem przywodziła ją do rozpaczy. Ale grunt moralny i miłość dla dziecka, dyktowały Karolinie uległość, choć matka zżymała się. Gdy zgubny wpływ sąsiadek na panią Iżykową podziałał, znienawidziła Karolinę i wnuczkę. Wśród męki minął rok. Karolina jeszcze czekała, ale napróżno. Oczekiwanie, męki nadziei niespełnionych, dokuczanie rodzonej matki, niezdołały ugiąć Karoliny i nieodebrały jej krasy. Ciągle była piękną. Po roku zjawił się dawno niebywały gość, Jan Rewacki. Zastał Karolinę w sadzie nie samą, z dwuletnią córeczką. I znowu jak niegdyś mówił jej o miłości i o sercu zbolałem. Dobrze — odparła młoda kobieta, zostanę twoją żoną, żoną ale przyjm to dziecko za swoje. W duchu zaś pomyślała: tak przynajmniej córka moja będzie miała ojca, bo co by to było, żeby ją tak później źli ludzie nazywali jak teraz. A mój ojciec ucieszy się. Potem dodała głośno: Będę twoją żoną, tylko pamiętaj, jakbyś mi kiedy skrzywił się na moje dziecko, albo powiedział jej później, żeś.., nie jej ojcem—dziecko niech nie wie o tem — to pamiętaj, że ja, ja... nie wiem co bym jeszcze zrobiła, ale dość, że pożałowałbyś tego. Jan przyrzekł solennie, ale słowa niedotrzymał.

Dziś— po latach dwunastu z Karoliny— jędza, a mimo to uczciwa kobieta. Jędza gdy broni swego dziecka, matka gdy ciężko pracuje a żeby dziecku temu i innym młodszym dać lepsze wychowanie. Mąż kielnią pracuje wprawdzie, ale nie mniej gardłem, które ochrypło od alkoholu. Dobytek ojca Karoliny zmarniał, bo stary widząc nieszczęśliwe pożycie córki, próżnującego zięcia, pomagał zrazu, później i sam zaczął szukać trunku na frasunek. Smutne to, ale prawda, że piękna Karolina bije nawet męża, tak jednak, by dzieci nie widziały. Instynkt, przykłady, otwarte jej oczy nauczyły ją także, iż nie godzi się udawać w obecności dzieci tkliwej żony, kiedy mężem pogardza. Wobec dzieci więc jest zawsze z mężem poważną tylko. Gdy ich nie ma usiłuje jeszcze niekiedy nawrócić go, ale to podobno daremne usiłowania.

Teraz już najstarsza córka Karoliny śpiewa też piosnki, które śpiewała matka. Pozwala na to Karolina, nie pozwala jej tylko chodzić do sąsiadek gdy u której odbywa się wesele, uczta jaka w niedziele i t. p. Zresztą, taka panna, jak zwią sąsiadki Joasią Karoliny nie przyszłaby nawet do nas, wstydzi się nas. — Nie was—odpowiada Karolina, ale waszej niemoralności, waszych brzydkich wyrazów, złośliwych języków i szkaradnych żartów.

d. c. n.

KORESPONDENCYJA Z BESARABII.

Pierwszy to raz o ile mi się zdaje w szpaltach pisma Waszego znajdzie się głos z obcej Wam i nieznanej Besarabii. Wiecie o niej bodaj nie więcej jak o Chinach lub Japonii, a jednak godziłoby się może poznać bliżej kraj, z którym pod nazwą Pokucia ściśle dosyć wiązały nas niegdyś stosunki, w którym nadto jako na neutralnym gruncie, w czasach smutnych rozterek znalazła przytułek i gościnne schronienie, dość znaczna liczba naszych rodaków. Rzuceni wolą Opatrzności w ten zakątek, niektórzy z nich, ulegli miejscowym wpływom—przyjęli miejscowy zwyczaj i obyczaj.

Są to biedniejsi, mniej wykształceni, officyjaliści, ekonomowie, ubożsi dzierżawcy i urzędnicy niżsi, którzy tutaj tylko mogli byli utrzy-

mać się przy urzędach. Inteligencyja czyta sporo książek, wypisuje znaczną liczbę pism peryjodycznych. Niewielkie towarzystwo nasze, ale żyjemy dość ściśle ze sobą, a i sprawami ogólniejszemi zajmujemy się potrosze. Chociażby ze względu na to tylko, nie od rzeczy będzie polskiemu czytelnikowi dowiedzieć się coś o Besarabii. Zaiste kraj to bogaty, ziemia żyzna, nie wycieńczona, nawozów niepotrzebuje, klimat południowy, sprzyjający hodowli winogron, tytoniu, kukurydzy, i t. p. Ale pożal się Boże tych darów przyrody. Ziemia dobra, ale nie zużyta, marnie traci siły i bogactwo bo pierwotny tu sposób gospodarowania. Masę ludu wyłącznie prawie składają Mołdawijanie, Romańskiego szczepu, niegdy panujący w tym kraju, który ostatniemi czasy stanowił integralną część Mołdawii i zostawał pod władzą Turcyi, aż do czasu przyłączenia go przed 70 laty do Rossyi. Nowa Cywilizacyja zagląda tu powoli... Po wsiach dotąd trudno napotkać człowieka, z którym można by się było rozmówić po rosyjsku. Na tym biednym ludzie znać dotąd ślady rządów Tureckich. Despotyzm pozostawił głębokie i żywe ślady w jego charakterze i usposobieniu. Despotyzm wytworzył i utrzymywał ciemnotę, ciemnota sprowadzała nędzę ze wszelkiemi jej następstwami. Reformy dokonane w Cesarstwie których moc rozszerzono i na Besarabiję, nie wiele oddziałały na byt krajowców. W zimowej porze, kiedy wyczerpuje się stodoła biednego mołdawianina, a czas płacić wszelkie podatki potrzeba, znajdują się usłużni dobroczyńcy dający mu pieniędzy na lichwiarskie procenta, na rachunek przyszłych zbiorów zboża, tytoniu wina i t. p., ma się rozumieć po cenie zniżonej, albowiem potrzeba czekać. Przyjdzie lato, rolnik plon zbierze a lichwiarz odstawia go do Odesy zbiera poczwórne zyski. Takie operacyje robią tu bez skrupułu, nawet tak zwani porządniejsi ludzie. A jeżli się nie urodziło, jeżeli susza plony wypaliła i dłużnik nie ma czem zapłacić, a to przy nędznym sposobie prowadzenia gospodarstwa, przy zaniedbanej uprawie roli, zdarza się bardzo często, cóż wtedy? O, usłużni żydkowie i w takich razach dają sobie radę. Spisuje się kontrakcik, w imie którego zobowiązuje się ciemnych i potrzebujących mołdawianów, w razie nie oddania należytego z kontraktu długu, oddać wierzycielowi zbioroku następnego co najmniej w podwójnej, jeżeli nie potrójnej lub poczwórnej ilości długu. Możecie sobie wyobrazić jak na tem wychodzi biedny włościanin i co mu przyniosła reforma sądowa, gdy sędzia trzymając się kontraktu nie może nie przysądzić poczwórnej wartości długu. To też biedaki wyprzedają ostatni dobytek, dla wydobycia się z ucisków lichwiarza, nie czekając *„woźnego,“* który z urzędu zajmuje i sprzedaje wszystko co tylko prawo pozwala. a oprócz tego ściąga sobie koszta podróży, dyjety i co mu się żywnie podoba, bo to także niby mu się *z prawa* należy. Nic dziwnego iż w obec tego włościanin utula nędzę w zatrutej gorzałce, którą mu ze wszech stron uprzejmie znowu podstawiają żydzi po nieprzeliczonych szynkownicach. Jakiejże oświaty i cywilizacyi można spodziewać się po ludzie, znajdującym się w podobnem położeniu. Prawdziwie bez przesady można powiedzieć, iż niewiele on różni się od zwierząt. To co powiedziałem sbezskutecznej rusoufikacyi, wsi, nie może stosować się do miast. W miastach znajdują się władze, biόra i urzędy, gdzie język rosyjski jest panującym językiem. W miastach też rodowici mołdawianie, chociażby bardzo łamanym językiem rosyjskim mówili, nazywają siebie Rosyjanami. Nie raz zebrani nawet w tak zwanem wyższem towarzystwie puszczają się w narodowy „dżok“ lub „Jenatorijkę.“ Co się tycze rozwoju moralnego, i umysłowego tych klss, łatwo je odgadnąć, lud ciemny, zestrachany i uległy, panowie, („bojery“) dumni i zarozumiali, nie uznający w biedniejszych godności człowieka, a sami Boże zmiłuj się ciemni co się nazywa, boć nie można brać za wykształcenie pewnego powierzchownego blichtru zagranicznego, lub z papużej paplaminy po francuzku w takim np. akcencie: „jak ałon a ła mezon“ i t. p. Młody pan, wykształcony bo skończył uniwersytet, zajmujący jedną z ważnych posad i do tego w sądownictwie, dowiedziawszy się, że furman jego zaleca się do pokojówki w niezamożnym domu, idzie do tego domu zupełnie nieznajomego sobie, *bije tam* po twarzy furmana, że się włóczy i czas traci, wpada do pokoju za służącą, i bije ją aby nieprzyjmowała kochanka, przestraszając naturalnie żonę i dzieci gospodarza, o niczem nie wiedzących i — to mu uchodzi najzupełniej na sucho. A dla czego? Bo to *ucywilizowany* a do tego ma żonę kształconą za granicą, gdzie się uczyła agronomii. Ciekawa rzecz co by było, gdyby stało się przeciwnie, i gdyby niezamożny obywatel przyszedł bić, rozbijać służbę w domu wielkiego pana. A oto młody, dystyngowany pan, drugi elegant w pensne, wchodzi w gościnę do znajomych. Małe szczenie, bawiąc się, spiera się doń łapami i chwyta za koniec palca. Obrażony za zepsucie pompatycznej miny, nic nie mówiąc gospodarzowi, nie witając się z nim — lewek ów rzuca się za szczenięciem, bije i podrzuca go nogami, i „trzymaj pan swego psa na uwięzi“ rzecze zwracając się po tem do właściciela. Nie są to oderwane bynajmniej fakta, pełno tu podobnych w których rażąco się przebija buta, nieuszanowanie cudzej godności, brak wszelki grzeczności i przyzwoitości.

W obecnej pierwszej mojej korespondencyi chciałem wykazać tylko główne, charakterystyczne tutejsze cechy, poprzestaje więc na tem, co się zaś tyczy szczegółów, do tych może przyjdę w następnych kiedyś korespondencyjach. Mam zamiar podać w nich, między innemi przedewszystkiem statystyczne dane, o ile to będzie możebne o miejscowych np. zakładach naukowych, niższych i średnich, o czytelni, biblijotekach, o ilości i jakości prenumerowanych czasopism, dane względem położenia tutejszych rolników i t. p. Tym czasem dla ogólnej charakterystyki podam jeszcze kilka mniej zresztą ważnych szczegółów miejscowych. Zacznę od opisania miasteczka, w którem mieszkam. De jure jest to miasto, i to powiatowe, liczy około 10000 mieszkańców, położone nad Dniestrem, w bardzo ładnej miejscowości otoczone do koła górami. Na górach z jednej strony (Besarabii) bez przerwy ciągną się winnice, bieleją chatki na wysokości wśród zieleni, tam drzewa fruktowe, dalej leszczyna dereń, u szczytu nie wielki lasek. Pomiędzy tem wszystkiem sterczą skały ogromne, urwiska, źródła pod cieniem drzew, szemrzące, a zwierzchołka zachwycający widok na miasto u podnóża, na ogromną wieś Podolską, po drugiej stronie Dniestru leżącą. Na samym brzegu miasteczka, niby czarna skała, wyrasta wysoka forteca, zabytek osad Germańskich w tych stronach, jak niesie podanie, ostatniemi czasy należąca do turków, teraz opuszczona zupełnie. Głucha wieść niesie, iż są w niej ukryte ogromne skarby, że są tam także skryte podwodne przejścia na przeciwny brzeg Dniestru. U brzegu Besarabskiego przejścia te miały się później zawalić pod wodą, skutkiem czego miały powstać istniejące rzeczywiście nadzwyczaj głębokie doły na samym brzegu Dniestru — w których nie jedna już ofiara zginęła. W gęstwinie lasów na miejscu których stanęła była zrujnowana forteca chroniła się uciśniona ludność tutejsza od mordów i grabieży, na które zawsze była wystawiona, leżąc między Wołoszą, Turkami, Tatarami i Kozakami. Miejsc historycznych tu dosyć, oto niedaleko od nas gdzie dziś miasto powiatowe Chocim, miała miejsce owa sławna bitwa Chocimska, za Chodkiewicza, Jachajdacznego i t. p. A o 50 dzisiejszych wiorst od miasta mężnie poległ na polach Cecory hetman Żółkiewski. Ślady kryjówek dawnych, gdzie uciekali z życiem i mieniem rabowani krajowcy egzystują dotychczas jak na Podolu tak i u nas w Besarabii. Podziemne pieczary i jaskinie podolskie które tak dosadnie odmalował Gosławski mamy to u siebie. Pod miasteczkiem i to w głębi wąwozu między górami, znajduje się wykuta w skale jaskinia zwana tu grotą pustelnika. Grota ta znajduje się w niedostępnej prawie miejscowości, i wejście do niej wykute jest w prostopadłej skale na wysokości półtora sążnia. Niegdyś gęsty las starannie je okrywał, dziś odkryta zupełnie. Ciekawi i zręczni wdrapują się do jej wnętrza, zostawiając po sobie napisy i nazwiska. U was miasto liczące 10,000 mieszkańców ma bruki, chodniki, oświecenie gazowe, ma wodę przeprowadzoną do domów, kolej żelazną, drogi bite i t. p. U nas — pożal się Boże. Na ulicach brniemy po kolana w błocie, zaduch, ciasnota, zaraza, pożary. W nocy choć karki kręcić po ciemku, bo mamy wszystkiego kilkanaście lamp olejnych, o wiorstę jedna od drugiej. Do kolei żelaznej nie bardzo wprawdzie daleko, bo 5 mil wszystkiego ale najgorszej drogi. Z zakładów naukowych istnieje tu tylko 3-y klasowa szkółka powiatowa w najopłakańszym stanie, i początkowa szkółka w jeszcze gorszem położeniu. Tyle tymczasem — Z resztą do następnego listu.

L. Goliszewski.

ŚLADY ŻYCIA.

X.

Tyle życia, ile... w czynie.

W tych dniach mieliśmy sposobność oglądać świeżo wydane album widoków p. Napoleona Ordy znanego artysty muzyka i rysownika.

Zbiór ten składa się z trzydziestu tablic litografowanych w zakładzie Fajansa i zawiera prześliczne widoki z gubernij: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, kijowskiej i innych. Są to przeważnie miejscowości mające historyczną doniosłość, lub z któremi łączą się wspomnienia wielkich naszych poetów i mężów stanu. Rzeczy to całkiem u nas nie znane, a p. Orda przy wrodzonem poczuciu estetycznem umiał wybierać takie które nietylko dla wzroku ale i dla serca i umysłu przyjemną stanowić mogą rozrywkę. Artysta z niezwykłą gorliwością badał wszystkie szczegóły na miejscu i pracą tą sumienną a wytrwałą zasłużył sobie na szczerą wdzięczność ziomków. Album kosztuje rs. 9, z przesyłką 10 i może być nabyte w każdej księgarni.

Zamożniejsze rodziny nasze które ozdabiają swe salony przeważnie zagranicznemi utworami, powinnyby tego rodzaju wydawnictwa przyjmować i chętnie popierać. Do takich zaś należą między innemi i portrety naszych znakomitości naukowych.— Polecamy więc czytelnikom naszym dwa niedawno, staraniem p. Piekarkiego wydane portrety braci Śniadeckich, w większym formacie, odznaczające się i wiernością rysów i artystycznem wykonaniem.

Odczyty publiczne nieprzestają gromadzić licznych słuchaczy. W zeszłym tygodniu odbyły się prelekcyje doświadczalne p. p. Dziewulskiego *O indukcyi galwanicznej* i Milicera *O materyjałach wybuchowych.* Odczyt p. Ochorowicza *O płucach i oddychaniu* zamieścimy w krótce w naszem piśmie.

W towarzystwie muzycznem wielki rwetes. Na czem się skończy, nie wiemy jeszcze, ale to pewna że przechodzi ono studyjum bardzo dla siebie niebezpieczne. Zarząd z 12-u członków złożony widząc, że niemoże podołać najrozmaitszym wymaganiom członków, podał się do dymisyi, i tylko jeden p. Wł. Wiślicki ma zamiar i nadal utrzymać się przy kierownictwie. Wszystko to dowodzi, jak bardzo jeszcze niedorośliśmy do wysokości idei stowarzyszeń, o której tak wiele rozprawiamy.

Czekajmy jednak końca.

P. S. Zarząd już wybrany. Szczegóły w zeszłym Numerze.

Zaczyna się powódź koncertów. Odbyły się już wystąpienia pp. Mitkiewicza utalentowanego tenora, Domaniewskiego młodego pianisty i Górskiego znanego chlubnie skrzypka. Dziś koncert p. Hornowskiego ze współudziałem panny Jundziłł. W krótce zaś t. j. w połowie tego miesiąca będziemy mieli doroczny koncert studencki, i jeszcze inny na dochód pewnego zakładu sierot. Szpital zaś dziecinny spodziewa się nowego zasiłku z odczytu który ma urządzić jedna z tutejszych literatek. Dotychczas zapowiedziane i z zajęciem oczekiwane prelekcyje pań Morzkowskiej Waleryi i Elizy Orzeszkowej nie przyszły jeszcze do skutku. Pani Morzkowska miała mówić o pracy, ale podobno z przyczyn od niej niezależnych wcale już mówić nie będzie — zaś pani Orzeszkowa opracowawszy interesujący przedmiot: *O wpływie nauki na miłosierdzie* z przyczyny słabości zmuszona była odczyt swój odłożyć.

Szekspir doczeka się i u nas kompletnego i to ilustrowanego wydania. Ukaże się ono w trzech wielkich tomach nakładem spółki księgarzy. Przekład p. St. Koźmiana, p. Pankowskiego i L. Ulricha uzupełnione objaśnieniami i życiorysem poety pióra Kraszewskiego. (Czemu to p. Andrioli za przykładem Kossaka niepomyśli o podobnym wydawnictwie ilustrowanem którego z naszych wielkich poetów?)

Całość dzieła kosztować będzie rs. 15, ale można nabywać zeszytami.

Pokazuje się że projekta dziennikarskie choć zwolna, przychodzą nieraz do skutku. Czytelnicy nasi przypominają sobie podany przez nas projekt pani Ochorowiczowej zakładu gospodarczo-naukowego dla kobiet. Ten ostatni wprawdzie dla wielu przyczyn niemoże przyjść do skutku, ale za to przynajmniej coś w tym rodzaju, na małą skalę mieć będziemy. Oto p. Lucyna Ćwierczakiewiczowa otwiera w swem mieskaniu szkołę gotowania z kursem 3—4 miesięcznym z opłatą 50 rs. Nie sądzimy aby to była cena zbyt przystępna — ale uczennic może być tylko 8, znajdą się więc niezawodnie.

Projekt „szkoły dla kucharek" podał pierwotnie Dr. Kuczyński.

Przy tej sposobności nadmieniamy, że znane dziełko p. Ćwierczakowej „365 obiadów" wyszło obecnie w dziesiątym wydaniu.

Tydzień piotrkowski bardzo dobrze się przedstawia i mamy nadzieję że teraz stalsze znajdzie poparcie. P. Porębski umiejętnie urozmaica treść pisma, pamiętając przedewszystkiem o praktycznej wartości artykułów. *Gazeta kielecka* także robi co może; w jednym z ostatnich numerów zamieściła trafne uwagi p. Łuniewskiego o teatrach prowincyjonalnych. P. Łuniewski pracuje obecnie nad sprawozdaniem z Kielc dla *Niwy.* — *Kaliszanin* zawsze prym trzyma pod względem ożywienia a *Kuryjer Lubelski* który już się ukazał pod nową redakcyją p. Głębockiego i przy pomocy najlepszych sił lubelskich dogania inne. Wszystkim tym redakcyjom, życzymy wytrwania na stanowiskach.

ROZMAITOŚCI.

Maleńki tryumf miłości macierzeńskiej.

Są zdania, które na pozór zaledwie pobieżnie zwróciły naszę uwagę, a jednak—co chwila stają nam przed oczyma; zatrzymują się w myśli, utrwalają w pamięci—a nawet mimo naszej woli, nie zatarte wrażenie w niej pozostawiają. Albowiem pod ich pozorną prostotą, ukrywa się myśl głębsza; a z niej zastanowiwszy się nieco, ważną wysnuwamy nieraz naukę. Do takich zdarzeń, zaliczamy maleńką scenę, którą tu przytoczyć zamierzam. A wniej to właśnie, obok udrzającej sprzeczności, uwydatnia się budujący przykład potęgi miłości macierzeńskiej w wychowaniu dzieci. Pewnego wieczora, po całodziennej mej pracy, spieszyłem właśnie do domu; w tem przebiegła mi drogę jakaś kobieta, która rzucając w te i ową stronę pełne niespokoju spojrzenia, rozpaczliwe wydawała krzyki. Była to kobieta z ludu przejęta gwałtowną trwogą, od godziny już biegała podobno po ulicach i napróżno szukała swojego dziecięcia. Przypuszczając jakieś nieszczęście, i ja pobiegłem za nią co prędzej; lecz wnet rozpierzchły się moje obawy. Gdyż właśnie na skręcie ulicy, którą podążyłem, ujrzałem biedną matkę, już obok jej syna, malca sześć do ośmiu lat mającego którego tylko co z taką rozpaczą przyzywała. A nie ochłonąwszy jeszcze z tego strasznego wrażenia, zaczęła go łajać surowo, iż mimo tylokrotnych upomnień, zawsze tak daleko odbiegał od rodzicielskiego domu. Następnie, kiedy w miejsce trwogi, gniew ją ogarnął posypały się wyrzuty—a nawet srogie pogróżki. Chłopak nie śmiał podnieść oczu; ale widocznem było, iż ta wielka burza mało go obchodzi. Milczenie i wyraz twarzy jego, świadczyły tylko o złym humorze i zdawały się mówić: „Słyszę ja to wszystko; lecz skoro mi tylko Piotr lub *Paweł* doniesie, że się dobra partyjka do piłki na placu zebrała, to i ja tam pospieszę."

Ale matka jego nie była wstanie wytrzymać długo w tym gniewnym i łającym stanie: bo uczucie macierzyńskie wnet wzięło górę, kryjąc więc twarz swoją w obu dłoniach, zawoła: „Lecz nieszczęsne dziecko, cóżby się ze mną stało, gdybym cię straciła!"

W tym krzyku boleści poznało dziecię swą matkę... a rzucając się z płaczem w jej objęcia, przyrzekło —i to szczerze, nigdy już więcej nie zadawać jej takiej boleści.

Co do mnie, wzruszony do żywego, poszedłem w swoją drogę, mówiąc sobie: „Jeżeli kiedy ojcem zostanę—i przyjdzie chwila w której upominać będę musiał swoje dzieci — nie zapomnę nigdy przykładu tej matki, która jedną łzą więcej dokonała, niż tysiącznemi upomnieniami. Przypomnę sobie, że najlepszym i najpewniejszym środkiem otrzymania od dzieci tego czego pragniemy jest: uchwycić je, jakto mówią za serce—i przekonać że łając i upominając, tylko ich dobra pragniemy,"

(Almanach des jeunes meres).

* * *

Hr. Zdzisław Tyszkiewicz, właściciel dóbr i prezes Rady powiatowej Kolbuszowskiej, ofiarował na cel budowy nowej szkoły czteroklasowej w Sokołowie kwotę 600 zł., zaś Przew. ks. kanonik Leon Stokowski, proboszcz miejscowy kwotę 500 zł., nakoniec Marcin Woś, obywatel sokołowski kwotę 50 zł.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.